Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku:

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

---

1. **Garczyński.** Poezye.
2—5. **Słowacki.** Poezye. 3 tomy.
6. **Gordon.** Obrazki caryzmu.
7. **Borkowski.** Wyprawa partyzancka 1833 r.
8—12. **Mickiewicz.** Pisma. 5 tomów.
13—20. **Czajkowski.** Pisma. Tom I—VIII.
Tom I. Wernyhora. — Kirdżali. — III. Powieści kozackie i Gawędy. — IV. Owruczanin. — V. Stefan Czarniecki. — VI. Hetman Ukrainy. — VII. Koszowata i Ukrainki. — VIII. Anna.
21. **Norwid.** Poezye.
22. **Siemieński.** Poezye.
23—25. **Krasinski.** Poezye. 3 tomy.
26. **Gosławski.** Poezye.
27. **Zienkowicz.** Wieczory Lacha z Lachów.
28—31. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne. 4 tomy. Tom I. Alcyata. Rzecz o rozumie stanu. — II. Polska w kraju i zagranicą od 1831 do 1848 r. — III. Rewolucyonisci i stronnictwa wsteczne. — Polska w kraju w 1848 r.
32. **Czajkowski.** Pisma. Tom IX. Dziwne życia Polaków i Polek. Dzieło po pierwszy raz wydane.
33. **Gordon.** Soldat, czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku. Wydanie drugie.
34. **Gordon.** Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla. Powieść historyczna.
35. **Heltman.** Demokracya polska na emigracyi.
36. **Zmorski.** Poezye.
37. **Hoffmanowa.** Jan Kochanowski w Czarnolesiu.
38—39. **Witwicki.** Wieczory pielgrzyma. 2 tomy.

40—41. **Giller.** Podróż więźnia etapami do Syberji w r. 1854. 2 tomy.

42—43. **Ujejski.** Poezje. 2 tomy.

44. **Jasieńczyk.** Dziesięć lat niewoli moskiewskiej.

45—47. **Giller.** Opisanie krainy zabajkalskiej. 3 tomy.

48. **Gordon.** Podróż do Nowego Orleanu.

49. **Zacharjasiewicz.** Na kresach.

50—51. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne literatury polskiej. 2 tomy.

8°. Cena każdego tomu 1 Talar, oprawnego w płótno angielskie z tytułem złoconym 1 Tal. 10 Ngr.

LUTNIA.

PIOSENNIK POLSKI.

TOM I. i II.

16°. Cena 1 Tal. za tom; w oprawie ze złoconemi brzegami po 1 Tal. 10 Ngr.

Zbiorek niniejszy jest pierwszym pomysłem w tym rodzaju. Nadzwyczaj żywe przyjęcie pierwszego tomu spowodowało wydawcę do kontynuowania całości, o ile materjał się zbierze, i tom drugi z równemże spółczuciem rozebrany został.

Rzadko się zdarza, aby wydanie tak prędko się wyczerpało jak przy „Lutni", której wydanie drugie w trzy miesiące po pierwszem było konieczne. Ale też nie posiadała polska literatura tak dobranych i tak pięknie a wygodnie co do formatu i objętości wydanych zbiorów narodowej pieśni.

Oddając Lutnię po stosunkowo niskiej cenie, spodziewa się nakładca rzeczywistą ludowi polskiemu czynić przysługę.

POEZJE OBŁAKANEGO.

[Kozubowski Feliks]

POEZJE

OBŁĄKANEGO.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1868.

179750

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

SPIS RZECZY.

	Strona
Karolowi W. (Przypisanie)	1
Czytelnikom	5
Sen z lat moich dziecinnych	7
Jak bywało	18
Pożegnanie	26
Konwój na Sybir	30
Wygnaniec	36
Z 1863	44
Do M. K.	45
Nasza dola	46
Nie dla mnie	48
Czemu jestem smutny	50
Trzy doby życia	52
Cieniom Władysława Wagi	54
Pożegnanie ojczyzny	56
Z obczyzny	58
Modlitwa do ojczyzny	60
Kochałem	62
Nieznajomej	64
Do K.	65
Zapóźno	67

Strona

Do..... 71
Przypomnienie do Elwiny D... 72
Odpowiedź na list sentymentalny 74
Szkoda 76
Wyjątek z poematu: «Wspomnienie» 77
Do różnych ludzi 82
Bajka nie bajka, ofiarowana wszystkim głuchym. 85
Do S. 86
Powieść bez tytułu 88
Trzy rocznice. I. (W kraju) 118
» » II. Szlachecka biesiada. (Za granicą) 131
» » Szlachecki krakowiak 136
» » Jak bywało 139
» » III. (W paryskich poddaszach) 145
Odpowiedź na list 150
Urywki z listów. I. 154
» » II. 160
» » III. 162
» » IV. 166
» » V. 167
» » VI. 170
List do Wiktora de W. W. 184
Wyjątek z listu do Marcelego Mir..... 195
Epilog. Wyjątek z ostatniego listu 217

KAROLOWI W.

(Przypisanie.)

Przyjmij te pieśni!... Niezdolne one
W nikim rozbudzić śpiącego ducha,
Ni pchnąć do czynu — w gromowy dzień!
Zawiędłe kwiaty — czasy prześnione —
Któż bo dziś pieśni takich posłucha,
I takich harfy niewprawnej drgnień?

Nie ma imienia! Na tarczach sławy,
Ni w przedpokojach magnackiej czerni,
Nikt nie zapisał pieśniacza — nie! —
Moskala trwożni, Rzymowi wierni,
Już zapomnieli dzień męki krwawej —
Na co ich budzić?... im błogo w śnie!

Przebrzmiały trąbek tęskniące dźwięki,
Grzmot rusznic ucichł pod mogił stami,
Nawet się katów zmęczyła dłoń —
Krzyże-szafoty i ofiar jęki
Już zapomniane — a nad polami
Znów śpiew pasterski — i kwiatów woń!

Śpią! — więc nie budzić pieśnią — wszak tyle
Było, a nawet mistrzowskich pieśni,
Lecz nie trafiły na Sparty lud!
Ci śpią w obydnej kajdan mogile,
Wołając cudu!... ten lżej się prześni —
Może niewola — z tą wiarą w cud!

Jam nie miał nigdy myśli ich budzić.
. . . . . .
Stwarzać Margerów — Leonidasów —
Nie na dzisiejsze wypada dnie.
Dosyć się niebem po śmierci łudzić,
I czekać przyszłych zbawienia czasów:
Modlitwa czynu nie dla nich — nie!
. . . . . .

Przyjmij te pieśni!
Gdy śmiech niewiary,
Gdy śmiech szyderstwa je tam powita —

Ty jeden może dopatrzysz w nich
W daleką przyszłość niezgasłej wiary;
I twój wzrok może tylko wyczyta
Treści mych myśli i uczuć mych!

Tobie ja daję — na przypomnienie
Wspólnej niewoli w czeskiej krainie,
Smutnych a cudnych przeszłości lat.
Przyjmij ochotnie mej harfy drgnienie —
Choć w tobie — może ono nie zginie —
Boś ty zasadą — mój druh i brat!

Bordeaux, 1867.

Obłąkany.

CZYTELNIKOM.

Jak się nazywam? — Po mojem mianie
Co wam rodacy? — Ot parę słów
Z dawnych wesela i męki snów,
Może wystarczy wam za poznanie.

Wierzcie mi! nigdybym się nie ważył
Rzucać tych pieśni w szeroki świat —
Gdyby nie chwila, w której'm zamarzył
Iść w naszych mistrzów niestarty ślad.

Gdyby nie chwila, w której u łona
Straszny się pożar rozpalił wraz —
. . . . . .
Dziś — już pieśń życia mego skończona,
Ogień stłił piersi — zniszczył — i zgasł.

Jam już nieżywy, i czując właśnie
Czem mogłem zostać, gdyby nie los,
Po śmierci ducha — nim ciało zgaśnie,
Ostatni do was podnoszę głos!

SEN Z LAT MOICH DZIECINNYCH.

Na zielonej traw pościeli
U stóp Wisły, co urocza
W dal błękitny swe przeźrocza
Wiedzie, w pian ubrana bieli,
W cichy, w wonny wieczór letni
Spałem. —
W śnie płynąłem lotno,
Drogą marzeń niepowrotną,
Gdzie się szczyt obłąkań świetni.
. . . . . .
. . . . . A droga była
Z siedmio-farbnych tęcz złożoną;
I do koła niej się wiła
Szarfa, w przestrzeń nieskończoną,
Zdobna wszystkiem co świat ceni

Najpierw na ognistych słupach.
Przy ruczajach krwi i trupach
Jasne złoto się promieni.
Przy niem brato-bójcze noże —
Wszystkich zbrodni stek i brudów —
Cała męka świata ludów —
Całe przyszłej męki zorze.

Dalej — słowa na piorunach,
Co w olbrzymich zwite runach,
Już czekały tylko znaku,
By na chmur popłynąć szlaku,
I straszliwym swym hałasem
Rozbić w przestrzeń imię czyje,
Nad wiecznością — wieków czasem.

Tuż za niemi zegar bije
Co sekunda w serca ściany,
Głos miłości nieprzebranej.
U nóg jego bukiet cudny,
Zwity z samych uczuć leży —
Cały wdzięków czar uludny,
A majowy — wonny — świeży!

Dalej — wszystko co na ziemi
Wabi ludzi swoją siłą.

Wszystko o czem się śni — śniło —
Co rękami byśmy swemi
Zerwać i przycisnąć chcieli.
Do płonących żądzą lon.
To co mamy — cośmy mieli —
Życie — życia czar — ból — skon —
Potem wieczność! —

Jam zdziwiony płynął dalej,
Nie pojmując co to znaczy.
Kto mi — kto mi wytłumaczy?
Rzekłem, drżąc w powietrza fali;
Lecz już byłem w drogi końca —
A to droga — niepowrotna!

Raptem — zgasły tęcze — słońca —
Przestrzeń głucha i samotna
W czarny kir się znów ubiera —
Tylko w dali,
W mgieł — chmur fali.
Mała gwiazdka lśni się — pali —
Ale bardzo blado! —

Ku tej gwiazdce, myślę sobie,
Ku tej gwiazdce, co tam kona,

Od swych siostrzyc odłączona,
Jakby smętna i w żałobie —

Pragnę — wnet się szarfy kładą,
Z mgieł i czarnych chmur opony;
I na skrzydłach burz niesiony
Płynę w przestrzeń.
W pierwszem mgnieniu
Koloruje się u oka
Jakaś postać na wzniesieniu,
Wielka — groźna jak opoka —
Trzymająca szale w ręce.

Chcę ominąć — sił nie starczy —
W czarodziejskiem jakiemś kole
Wciąż zataczam się i kręcę,
A z pod stóp mi nikną chmury —
. . . . . brak ostatniej tarczy.
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

...Ginę już — wtem głos ponury,
Co mi zdał się śmierci dzwonem,
Tak wzruszonem szarpał łonem —
Woła: «Ktoś jest? — Stoj śmiertelny!

«Ominąłeś ludzkie cele:
«Złoto — sławy strój weselny —
«I miłości i czuć wiele —
«Wszystko co świat ceni — pragnie —
«Ku czemu się serce ludzi
«Z lada wiatru tchnieniem nagnie,
«Nawet z snu wiecznego zbudzi...
«Wszystkoś minął! — Twoje ślady
«Starte już — tu śmierć cię czeka —
«Mnie nie wzruszy głos człowieka —
. . . . . .
. . . . . Czego chcesz?»

— Chcę gwiazdy bladej
Co polyska tam z daleka! —

«Chcesz? — A wiesz-że, iż ta gwiazda,
«Co się w chmur objęciu słania,
«To duch piorunowych pieśni!
«Ona wskrzesi wasze gniazda
«Z stuwiekowych błędów pleśni.
«W cudne tony zmartwychwstania
«Ona zagrzmi, gdy się stworzy
«Człowiek stal — co ją w pierś włoży,
«W miejsce serca — gdy się znajdzie
«Genjusz duch, co ją oceni.

«Jeźli nie — znów gwiazda zajdzie,
«Tylko resztą swych promieni
«Nada ludziom pół-pieśniarzy,
«Co grać będą w struny lutni
«Coraz ciszej — łzawiej — smutniej —
«Aż niewola się przemarzy!

«Gwiazdy chcesz tej! — lecz człowieku,
«Kto ją zdolny utkwić w czole,
«I w pierś przelać jej potęgę.
«Ten w przyszłości patrzy księgę.
«Wie co było w każdym wieku,
«Wie co będzie — i w sokole
«Myśli płynąc po nad światy,
«Zatknie struny piorunowe
«Na swą lutnię — i zapieje
«W taką wiarę i nadzieję,
«Że powskrzesza zmarłe owe
«Przed wiekami bohatery!
«Wstrząśnie strony świata cztery,
«I ze wszystkich stron popłynie
«Głos za pieśnią na przestrzenie;
«Że w myśl bożą nie zaginie
«Wolność — równość — zjednoczenie.

«Wiesz ty, że ten, kto jąłbierze
«Na swe czoło — komu z lica

«Lśni ta gwiazda-błyskawica,
«Musi rzec: Ja już nie żyję —
«Ja do siebie nie należę.
«Serce me — nie dla mnie bije —
«Anioł stróż mój — nie mnie strzeże —
«Ja — to święta pieśń, ojczyzna —
«Ja — to całe pokolenie —
«Jedna krwawa wieków blizna,
«Ja — to pieśń — grom — wybawienie

. . . . . .
. . . . . .

«Kto ją nosi — ten jest cały
«Obcy ludzkim czuciom — chęci —
«Bielszy niż tło szaty białej;
«Świętszy niż niebiescy święci.
«Nic nie kocha — nic nie czuje —
«Matki, lubej, ni rodziny;
«Żadnych myśli — żądz nie snuje —
«Prócz dla szczęścia swej krainy!

«Nie zna co to śmiech wesela,
«Póki ziemia jego łzawa!
«Co to imię przyjaciela —
«Co kochanka — zloto — sława!

«Nie zna nic — a gdy zanuci
«I gromowy dzień zabłyśnie,
«On podzięki, sławę rzuci
«I w czczość cały się rozpryśnie!
«I nic po nim nie zostanie,
«Nic się jego nie uchroni,
«Tylko — wielkie zmartwychwstanie,
«Znak skończonej gwiazdy w niebie,
«I straszliwy hymn: Do broni!

. . . . . .

. . . . . .

«Chcesz więc gwiazdy?»

— Chcę! —

«To ciebie
«Muszę zbadać» — rzekła do mnie
Postać z szalami na straży —
«Stój spokojnie i przytomnie
«Na tej z czaszek ludzkich szali.
«Jeźli gwiazda cię przeważy,
«Jeźli blask cię jej przepali,
«Ach! nic życia nie ocali,
«Musisz zginąć. — Lecz jeżeli
«Będziesz miał dość siły męzkiej
«Do dźwigania tego krzyża,
«Co sta pod nim wyginęli —

«To powrócisz w świat zwycięzki!
«Stój — patrz — gwiazda - pieśń się zbliża!»
. . . . . .
. . . . . .

Przez sfery nieznane jam z gwiazdą na czole
Powracał na ziemię w śnie;
W błękicie kąpany — płonący w światł kole —
I w jasnej nurzając się mgle.

Ila — blizko! już ziemię dojrzały me oczy
I Wisłę w girlandzie traw — róż —
. . . . . .
Wtem chmura nadbiegła i przestrzeń mi mroczy;
Sen prysnął — odbieżał mnie już!

I patrzę przed siebie, a dłonią po skroni
Przesuwam, czy gwiazda tam tkwi.
Pierś gniecie żal straszny — i oko łzę roni,
A w duszy ta gwiazda wciąż lśni! —

Gorący całunek z tajemnych snów lawy
Ocucił, do reszty wracając mnie sił —
To matka uklękła i topi wzrok łzawy
W twarz moją i pyta com śnił?
. . . . . .

Ha! — z was wielu może śmiechem
Parsknie — gdy to przeczytacie!
Lecz powiedzcie mi: czy grzechem
Jest uwierzyć w sen z lat świtu? —
Czy wy nigdy snów nie macie
Z ziemi — piekła — lub błękitu?
Czyście nigdy nie wierzyli
Ani mgnienia — ani chwili —
Gdy wam szczęście sen objawiał?
Czy z was zamków nikt nie stawiał
Na zielonym snów kobiercu?

Odpowiedzcie — ale szczerze:
Czyli nigdy w waszem sercu,
Choć tajemnie — choć w ukryciu —
Nie zabrzmiało słowo: «wierzę»
Choć sekundę w całem życiu?

Oh! żadne nauki — zdania —
Żadne władze, ani czary
Nie wykluczą z lat zarania
Fantastycznej naszej wiary.
To przyrosło nam do piersi,
To się wżyło z nami w życie!
My z tą wiarą lepsi — szczersi —
I choć drugim śmiech rzucamy
W oczy przeciwzdania setne —

Cicho — tajemniczo — skrycie —
Szczęśniśmy, że posiadamy
Snów i marzeń szarfy kwietne.

I jam wierzył, że ta cudna
Gwiazda — duch mój w stal uprzęże;
Że tą drogą, chociaż trudna,
Przejdę śmiało — i zwyciężę —

Jam w to wierzył — i jeżeli
Dziś upadam pod brzemieniem,
To nie ducha osłabieniem:
Ale — środki mi odjęli —
I dni młodych lat niewinne!

W pierś się mą uczucie inne
Wkradło, oprócz czci ojczyzny:
Ja mam inne jeszcze blizny
Prócz tych, które wróg zadaje!

Aby żyć, pracować trzeba,
Choć chleb ciężki w czoła pocie;
A, żeby mieć ten kęs chleba,
Ledwo dziennej pracy staje.
Na naukę zaś — trza krocie!

Kiedyż więc wykształcę duszę,
By nio padła w dniu zbawienia?

Ja iść drogą płazów muszę!
Nie mnie lecieć w świat promienia,
Nie mnie dumać i na szarfę
Samych gwiazd po przyszłość lecieć
Tej ziemicy łez i biedy.
Nie mnie w dniu zbawienia świecić!

. . . . . .

. . . . . .

Więc proszę, krusząc mą harfę,
Zapomnijcie, żem żył kiedy.

Bordeaux, 1867. OBŁĄKANY.

JAK BYWAŁO.

W Mazowszu, gdzie żyzna dolina
Ciemny bór jodeł przecina,
Stał z dawnych już czasów dwór stary.
U stóp mu się Wisła w fal tysiąc rozprysła,
A czoło w lip okrył konary.

Opodal — na lewo — za wzgórza —
Krzyż czarny z za chmur się wynurza;

Wiatr zwolna spruchniałym pomiata,
A na nim rozpięty, promieni się święty
Obrońca narodów i świata.

Na niebie księżyc srebrno-lity.
W jego promieniach orzeł błękity
Przecina, tonąc w światła fali,
I Wisła szumną pieśń głosi, a wiatr ją podnosi
W ojczyste pola niosąc dalej.

Pod krzyżem młode klęczy pacholę;
Znać jakąś troskę ma na czole,
Bo je drobną rączką przyciska —
A w twarzy myśl smętna wyryła swe piętna,
A w oku drobna łza połyska.

Przez jej kryształy wzrok na twarzy
Chrystusa zawisł — i tak żarzy
Ogniem wewnętrznej uczuć bitwy,
Że znać od razu brak wyrazu
Na wysłowienie szczerej modlitwy,
Co z serca bierze początek.

Aż zebrał po chwili myśli wątek,
I wzrok rozjaśnił lazurowy,
W szept cichy temi modląc słowy:

«Stwórco wszech rzeczy — ojcze Boże!
Ścielę się u nóg twych w pokorze,
Bo w piersi ból — tęskno — ciemno!
Wysłuchaj! wszak ciebie gdym wzywał w potrzebie,
To nigdy nie daremno!

«Patrz, naród nasz we łzach i smutny —
Bo go wróg chciwy i okrutny
Sto lat łży i zadaje mękę —
Ach! kiedyż mój Panie,
Ta klęska ustanie,
I zdejmiesz karzącą twą rękę?

«Do koła pożary — krwi ślady —
A lud tułaczy — smętny — blady,
Wznosi rozpaczny wzrok do nieba.
Wszechstwórco! są dłonie ku kraju obronie —
Lecz i twej łaski nam trzeba!

«My wszyscy pójdziemy na śmierć wesoło,
I dzikiej Moskwie stawim czoło,
Bo dzień zmartwychwstania się zbliża —
Lecz niech nas, o Boże, i dłoń twa wspomoże.
A błogosławić chciej z krzyża!

«Dwóch jeszcze synów ma we dworze
Ojciec — to choć zginę może,

Oni mu będą starości pociechą;
Po mnie łza zostanie, lecz gdy kraj zmartwych-
wstanie,
Znów wesele zagości pod strzechą.

«Ach! widzę już — widzę, z nocnych cieni
Okropna łuna się czerwieni,
I z wiatrem płynie ludu trwoga —
Ach! niech cię prośba ma wzruszy —
Daj mi hart ciała i duszy,
Bo ja w twe imię pójdę na wroga!»

. . . . . .

Tak mówił — aż się uczuć burza —
Głębiej i głębiej w pierś zanurza,
I ginie ślad tęsknych zadumień;
A po nich na lica, w promieniu księżyca
Wybrylantował się łez strumień.

I umilkł.

Wiatr przestał grać na krzyżu,
A orzeł jako posąg z spiżu
Siadł na nim — długie skrzydła skłania,
Dumnie podnosząc czoła —
I była cisza do koła,
Uroczysta — święta — może wysłuchania!

. . . . . .

W niedługą chwilę przy dworze,
Wierzchowiec siwy ziemię orze,
I parska pianą niecierpliwy;
Przy nim pachołę, z pod krzyża, o bladem czole,
Kapelan wioski i ojciec sędziwy.

I rozpotarli nad niem dłonie —
Bożej znać polecają obronie;
A chory ksiądz wioskowy
Na szlachetnej piersi młodziana
Zawiesił obraz Chrystusa Pana,
I błogosławieństwo cichemi dał słowy.

Wtem dwaj młodsi bracia nadbiegli,
Na szyi rycerza z płaczem legli,
Znać czując, że rozdział się skończy żałobą. —
Ściskają serdecznie i proszą koniecznie:
«Ej, Stasiu! braciszku! weź z sobą!»

Komuż to chwila pożegnania
Serca boleścią nie rozrania,
Gdy wszystko co kochał porzuci?
A po pielgrzymce tułaczej,
Czy kiedy swoich zobaczy?
Bóg to wie — toż nie dziw że się serce smuci.

Odjeżdża — starzec jeszcze żegna.
Ha! może krzyżem śmierć odegna,
I wróci zdrowo w swą zagrodę?

Aż siadł na konia i przez błonia
Pogonił, gdzie bój za swobodę.

I długo ojciec zadumany
Patrzał w kurzu na drodze tumany,
Co o księżycu w dziwne się stroił widziadła —
Aż szepnął: O Boże! . . . niech dłoń twa pomoże!
A na lica łza męki rodzicielskiej padła.

I wszystko znikło — a w pobliżu
Wiatr smętną piosnkę grał na krzyżu,
I od Wisły dobiega szmer z dali —
Znać krzyż ten sierota i fala wód złota
Rycerskie pacholę żegnali.

. . . . . .

Trzy dni minęło.
O wieczorze
Znów nowa troska — płacz we dworze,
Serce biednego rodzica w boleści —
Bo drugiego syna pod krzyżem widziano,

Jak pierwszy, modlił się tak samo—
A potem — zginął bez wieści!

I wszystko jak było — tylko w świetlicy
Brak dwururki — dziadów szablicy —
I dziarskiego konika z stadniny.

. . . . . .

I znów długie się wloką godziny.
Wiatr szumi borem — Wisła jęczy.
Tylko najmłodszy jakoś blady,
Często pod starym krzyżem klęczy —
A gdy powróci, to ma łez w oczach ślady.

Aż raz nie wrócił.

Pusta strzecha,
Starzec rozpacza — bo czyż pociecha
Jest na podobne serca blizny?
Ha! chyba tylko czasem radość
Mięsza się — iż uczynili zadość
Świętym obowiązkom dla ojczyzny.

I rzekł raz biedny: «Kapelanie!
Ha! niech się wola boża stanie —
Krew poczuły orlęta młode.
A nam co robić w pustym dworze?

Ej! pójdźmy także — Bóg pomoże
I wywalczymy krajowi swobodę.»

I poszli — A pozostała gromada
Słyszane wieści rozpowiada,
Że pobici nieprzyjaciele —
Że troje dzieci i starzec siwobrody
Rzadkiego męztwa dają dowody,
A wiedzie ich ksiądz z krzyżem i mieczem na czele.
. . . . . .

Rok nie upłynął, a dwór stary —
Z lat dawnych — okulony w lip konary —
Znikł od stóp uroczej Wisły.
Tylko zniszczenia obraz smutny
Świadczy: że to był wróg okrutny,
I że się marzenia ojczyzny rozprysły.

I dziś już nic — tylko u wzgórza,
Gdzie krzyż — pięć mogił się wynurza,
Srebrnych księżycowymi ślady;
Smutny orzeł duma nad niemi,
Zwiesiwszy skrzydła ku ziemi,
I patrzy w nieba przestwór blady!
. . . . . .

Tyle zostało z dni królów i sławy
Narodu — co upadł zdeptany — krwawy —

Gdy mu sił w walce z zdrajcami nie stało;
Lecz ruiny — mogiły — popioły —
Jako strażnicze wspomnień anioły,
W wieki zaświadczą: «Jak bywało».

Erlangen, 1866.

POŻEGNANIE.

W mazowieckich pól równinie,
Stał przy wiosce biały dwór.
U stóp Wisła szarfą płynie,
A tam dalej w lewo — w prawo —
Słońce rzuca łunę krwawą
Na odwiecznych jodeł bór.

Po za dworem — tuż u wzgórza
Stary krzyż się z chmur wynurza,
I ramieniem garnie świat;
I zgromadza pod snu cienie
Wiejskie chaty — pól przestrzenie —
Bo krzyż — strażnik pól i chat!

Pod nim konik siwy parska,
W zieleniącą rwiąc się błoń;

A przy koniu stoi młodzian;
Strój bojowy — mina dziarska —
Ściska lubej śnieżną dłoń,
W blask jej modrych oczów odzian.

I tak chwilkę cicho stali,
U stóp zwiędłe wianki róż —
Po nad niemi niebo — w dali
Ciemna przyszłość walk i burz!

Ona blada — smutna — wzdycha —
A łzą modli i uściskiem,
Pół-otwartych ust koralu,
I czarownych źrenic błyskiem:
«Zostań! zostań! — mówi z cicha —
Chwila troski — chwila żalu —
A tam czeka śmierć i wróg!
Mam przeczucia złe dla ciebie —
Wierz — przeczucia zsyła Bóg.
A patrz! jak tam chmurno w niebie!»

I znów pieści dłonią białą,
I czaruje ócz błękitem!
Lecz on odparł niezłamany:
«Patrz! do koła brzmią kajdany,
Kraj nad nieszczęść stoi tonią;
Wróg mu krwawą zadał bliznę.

Prawda — tyś mi szczęścia szczytem!
Lecz aniele — wyżej cenię
Wolność moją i ojczyznę,
Nad twych modrych ócz promienie —
Nad roskoszne z tobą życie.

«Miłość wabi swymi wdzięki
I pieszczoną skłania dłoń,
I czarowny ton piosenki,
Lecz mnie w piersi gra od dziecka
Nasza nuta mazowiecka,
Co nad wszystko stawia broń!

«Żegnam! Przysiąż mi dziewczyno,
Że w twem sercu nie zaginą
Przypomnienia z biegłych dni.
Widzisz — z takiem przypomnieniem
Lżej się żyje krwią — zniszczeniem —
A w mogile — lżej się śpi!»

I wesoło brząknął w broń.
Hej! tam z wiarą, marsz na boje!
Niecierpliwy czeka koń —
I rycerska działwa stwarza
Przyszłej krwawej uczty dnie.
Już odjeżdża — lubej dłoń
Ściska w swojej, a powtarza:

«Aniołeczku — serce moje,
Żegnam, żegnam! kochaj mnie!»
. . . . . .

I pojechał. A ze wzgórza,
Czarny krzyż się z chmur wynurza,
Wiatr pieśń smętną na nim gra;
A pod krzyżem dziewczę stało,
Obie rączki załamało —
W oczach brylant żalu — łza.
. . . . . .

I nie wrócił! . . . Gdzieś tam w borze
Siwy konik ziemię orze,
Nad zabitym smętno rży.
A tam dalej w lewo — w prawo —
Słońce rzuca łunę krwawą,
I zachodząc, w chmurach drży.
. . . . . .

Z dwojga istot cóż zostało?
Srogi zawód — ból — krew — łzy —
I męczarni może piętna —
Nad tem anioł szatę białą
Roztacza nad wspomnień ślub —
W ciemnym borze, nad mogiłą!
A w Mazowszu? —

. . . . . Tam przybyła
Jedna więcej Polka smętna:
Potem — jeden więcej grób!

Ołomuniec, 1863.

KONWÓJ NA SYBIR.

I.

Smętny — łzami zalany —
A w strój czarny odziany,
U rogatki lud biedny się roi;
A tam w polne obszary
Legł tłum Dońców bez miary,
Sto kibitek w pośrodku nich stoi.

Co nie padło w walk błysku,
Lub szubienic uścisku,
Co nie kryje fortecy mogiła —
Wróg spełniając czyn kata,
Kajdanami oplata
I w pustynie Sybiru wysyła.

Na kibitkach rój wiary,
Wielki postrach na cary —

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
Biblioteka Główna
w Kielcach

Smętno patrzy za Wisłę — do miasta;
A tu Dońców gromada
«W pachod» na koń już siada,
I spis tysiąc ku niebu wyrasta.

«Żegnaj Polsko — rodzino —
Czy też kiedy przeminą
Te dni bólów i męczarń tak wielu?
Czy powrócim do chatek,
W uścisk ojców — siostr — matek —
Czy odżyjem w powitania weselu?»

A tłum łzami zalany,
Bierze więźniów kajdany,
Do ust ciśnie i żegna rodaków;
A czasem w nim tak jękło,
Jakby serce gdzie pękło,
Że aż wzrusza w pół-dzikich kozaków.

Jeden tylko z gromady,
Prawie dziecko i blady,
Sam w kibitce, bo nikt oń nie spytał;
Rzucił łzawy wzrok w tłumy,
I znów pełen zadumy
W jasny błękit się niebios zaczytał.

«Kto pożegna — kto ściśnie —
I łzą żalu zabłyśnie,
Gdy sierota — sam jeden na świecie?
Kto tam westchnie? — kto zna mnie? —
Ej! — wyszeptał — nie dla mnie
Łezka żalu — to bujne serc kwiecie!»

A wtem z tłumu powodzi
Dziewczę jakieś wychodzi,
W cudnych licach tęsknoty znać piętno;
Mały krzyżyk w dłoń wzięła,
U kibitki stanęła
I spogląda na więźnia twarz smętną.

«Pan sam jeden? — Nieznana,
Lecz jak siostra ja pana
Żegnam w imię ojczyzny — rodziny —
Weź ten krzyżyk dla siebie!
Będzie wsparciem w potrzebie —
On mi został po matce jedynej!

«Weź! —» I modli spojrzeniem.
Więzień przyjął ze drżeniem
Ten krzyżyk i zawiesza na szyję;
Chciał coś rzec — lecz kozaki
Krążą w koło jak ptaki —
Darmo! chwila rozdziału już bije!

Potem koła warknęły.
Dońce drogą pomknęły —
Sto kibitek pośród nich — i dalej
W Sybir! W Sybir wygnance,
Het na świata tam krańce,
Pod katorchę i knuty Moskali!

A tłum patrzał w ich ślady —
Cichy — mętny — i blady,
Tylko dłonie z wściekłością zaciska;
A śród niego nieznane
Stoi dziewczę spłakane —

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

II.

W kwartał potem — w Warszawie
Na wysokiej podstawie

Szubienica wyciąga ramiona
W kół rój carskich siepaczy,
I lud pełen rozpaczy.
Na szubienicy męczennik kona.

Zbiegł z sybirskiej ziemicy,
I znów ostrzem szablicy
Słał trupów moskiewskich tam krocie —
Aż go zdradą pojmano,
W białą szatę odziano,
I wieszają na polskim krzyżu-szafocie!

Lud poklęknął i smutny
Patrząc na czyn okrutny,
Z boleści a rozpaczy umiera:
A śród niego nieznane
Stoi dziewczę spłakane,
I w męczennika lice spoziera.

«To on!» — szepcze — poznaję —
Już pod stryczkiem — już staje —
Ten sam krzyżyk na piersiach — twarz blada.
Ten sam uśmiech tęsknoty —
I włos jasno-blond — złoty —
Już w powietrzu — ach, Boże! — Już spada!»

I umilkła.

A dłonie
Skrzyżowane na łonie
Cisną serce, znać żeby nie pękło!
Jako płaszę lasowe,
W tył schyliła swą głowę,
Tylko w piersi coś strasznie zajękło.

I umilkła.

A oczy,
(Jak gdy lampa roztoczy,
Nim zagaśnie, promienie jaskrawsze)
Zajaśniały w światł zdroje,
I tych cudnych ócz dwoje
Jako lampa, zagasły na zawsze!

A pytania w kół płyną:
«Kto tą zmarłą dziewczyną?»
I rozliczne wnet krążą powieści,
Różne zdania po tłumie —
Kto tam zgadnie — zrozumie —
Czy kochała? — czy jak Polka — z boleści?

Wawel, 1865.

WYGNANIEC.

(Szkic do dramatu.)

Żył w Paryża części starej,
Pono w klitce u Sekwany,
Z Dwernickiego dzielnej wiary
Żołnierz — z Polski wywołany.

Stary, biedny, bez pomocy,
Znosił jednak ból wytrwało.
A pracował dni i nocy,
By na chleb powszedni stało.

Wielu chciało wesprzeć brata:
Ale zamysł ten był próżny,
Bo on mówił: że od świata
Nie chce łaski ni jałmużny.

A gdy głowy mitrowane*)
Podać chciały dłoń — to stary
Z grozą pytał: czy słyszane
By kat żywił swe ofiary? —
I pierś darło mu westchnienie.

*) Czartoryszczyzna, Zamojszczyzna i Spółki.

A po całodziennym znoju,
Modlił krzyżem na pokoju
O ojczyznę — jej zbawienie —
A w niedzielę już koniecznie
W inwalidów dom zachodził.
I na polskie patrzył znaki,
Biało-pióre na nich ptaki —
I spłakawszy się serdecznie,
Wspomnieniami ból łagodził.

I zadumał sobie nieraz
O ojczyźnie i o sławie,
Jak bywało — jak jest teraz —
Co tam słychać — co w Warszawie?

A powtarzał: Boże! Boże!
Daj staremu dożyć chwili,
By się w kraju przebudzili,
By wolności weszło zorze!

I tak smutne męką — łzami
Biegły lata! —
Aż godzina
Szczęścia błysła — i z Prusami
Krwawy bój się naraz wszczyna.

Więc co żyło pod sztandary,
Krew z wolności łączyć sprawą!
A wygnaniec chory, smutny —
Ściskał dłoń tułaczej wiary,
I spoglądał za nią łzawo,
I wyrzekał na okrutny
Los, co wstrzymał go niemocą,
Gdy tam nasi biją wroga.

A pracował dniem i nocą
I za Polskę modlił Boga.

Zbierał wieści w kół po świecie,
O niej myślał każdej chwili —
I radował się jak dziecię,
Gdy gdzie nasi Niemców zbili.

Było i popatrzyć czemu,
Jak w świąteczne odzian szaty,
Kręcąc wąsa po staremu,
Wciąż powtarzał: a to chwaty!

Lecz nie długo, w jasnem słońcu
Marzeń, kąpał się nasz stary.
Wódz zdradzony upadł — w końcu
Za nim padły i sztandary.

A na Francji piękną ziemię
Nowy zastęp wszedł tułaczy.
Bohaterów weszło plemię,
Pełne bólów — łez — rozpaczy —
Śniąc o Polsce, zemście, wrogu!

A wygnaniec łzami zlany,
Pożałował tyle trudu,
I już bluźnił nawet Bogu,
Że się wyparł swego ludu —
Że ojczyźnie dał kajdany!

Ciało chore — dusza chora —
Co po życiu? — mówił sobie.
Ej! na smętarz już mnie pora!
Lepiej spać i marzyć w grobie,
Niźli tutaj! —

Boże! Boże! —
Com ja zrobił jego woli,
Że mi szczęścia dać nie może —
Ujrzeć Polski nie pozwoli.

Lecz znów ogień gra mu w twarzy,
Świt nadziei w piersiach snuje;
I wygnaniec znowu marzy —
Znowu lata wyczekuje.

Stary, biedny, bez pomocy,
Znosi jednak ból wytrwało.
A pracuje dni i nocy,
By na chleb powszedni stało.

Ale smutny coraz bardziej,
I ku ziemi się nachyla.
Życie idzie ciężej — twardziej —
Gdzież nadziei, gdzie ta chwila?

Tak czternaście lat upływa.

Aż nadzieja serca płoni —
Naród ze snu się porywa,
I uchwycił miecz do dłoni.

Ha! rzekł teraz żołnierz stary,
Dzięki Boże ci w błękicie,
Żem nie stracił w naród wiary,
Żem zachował biedne życie.

I krew w żyłach gra! —
Jaskrawie
Myśl rycerska w oczach lata,
I szalony szczęściem prawie.
A dumniejszy niż pan świata.

Ha! już przecie dniami tymi
Koniec bólom i rozpaczy! —
Kraj nie będzie miał tułaczy,
Ja na własnej łegnę ziemi.

To zapłacze, to się śmieje,
A siwego wąsa zwija.
Ej! nie próżnom miał nadzieję —
Świat się zmienia, wszystko mija,
Ale w dzielnej polskiej wiary
Żyłach, płynie krew czerwona,
I czerwono w głębi łona —
Stare męstwo — i duch stary! —

I już chodził jakoś żwawo,
Dłoń do boku ciągle zmierza,
Jak przystało na żołnierza;
A na wschód spoglądał łzawo,
Jak przystało na tułacza —

I nie płacze — nie rozpacza:
Jeden dzień mu zgoił blizny.
A każdego z naszych chwyta
I z radością w oku pyta:
Kiedyż wrócim do ojczyzny?

A tak w cudne wżył się śnicia,
Pełen wiary — siły w duchu,
W swych ziszczonych marzeń raju,
Że zwątloną nitkę życia
Na obecnym wsparł wybuchu —
Że żył tylko życiem kraju.

Lecz powoli mu do ucha
Biegną coraz smutne wieści!

Stary żołnierz patrzy, słucha —
W piersiach nuta gra boleści —
Lecz nie bardzo jeszcze wierzy.

Aż widocznie ruch upada —
I do koła głos się szerzy:
Nie ma rady — wszędzie zdrada!

Wtedy nie rzekł nic — lecz łzawy,
W Inwalidów dom znów chodził,
I na polskie patrzał znaki —
Białopióre na nich ptaki,
Lecz nad grobem stojąc sławy,
Bólu niczem nie złagodził.

Aż niezbita wieść nadbiegła:
Że już dzień swobody kona.

Że ojczyzna grób zaległa,
Przez magnatów pogrzebiona.

Wtedy — złamał dłoń nad głową,
Łza się w starca oku wije,
I powtarza smętne słowo:
Że ojczyzny nie przeżyje!

Na co starość wlec w boleści? —
Na co marnieć śród cierpienia? —
Żyłem cicho — sam — bez wieści —
To i zginę bez wspomnienia.

Świat się zmienia, wszystko mija —
Nawet Polska w grób upada!

I wnet palną broń nabija,
I na siwą skroń przykłada!

Potem spojrzał tam — ku niebu —
I do wschodniej spojrzał strony —
Potem wystrzał — pieśń pogrzebu —
Żadnej łzy . . . . . .
. . . . Dramat skończony!

Josefstadt, 1865.

Z 1863.

Zakuli w kajdany — na Sybir powleką.
Kibitka już stoi — rży rumak stepowy —
A za nią kobieta ze łzawą powieką
W szept cichy powtarza: Bądź zdrowy! bądź zdrowy!

. . . . . .

Eskorta gotowa. skinienia już czeka
I więzień odziany w sołdackim ubiorze.

. . . . . .

Po carskim ukazie znów wloką człowieka
W sybirskie kopalnie — pod knuty, wiąz, noże.

. . . . . .

Tłum zaległ ulice i krwawe źrenice
Roztacza na wroga, co spełnia czyn kata;
Świątynie bezcześci — urąga boleści —
Co z łona rodziny porywa mu brata.

. . . . . .

Już jadą — a z dali krzyk dzikich Moskali.
Szatańsko wtóruje łzom matki — łzom wdowy.

. . . . . .

Ej, nie płacz! Tam w niebie, Bóg patrzy na ciebie.
I szczęście da jeszcze za wieniec cierniowy.

. . . . . .

Już jadą — Hum groźnie spogląda za niemi,
Lecz cichy — i milczy, choć serce się krwawi.

. . . . . .

Ej! wytrwaj narodzie! — Twój los się przemieni.
Powstanie wódz mściciel i z kajdan wybawi!

Kraków, 1864.

DO M. K.

I cóż ci z tego przyjdzie, że wymówią usta.
Słowo: kocham — że lica spłoną w żądz pożary —
Kiedy duch już zlamany i pierś moja pusta,
Kiedy w niej brak miłości — nadziei i wiary?

I cóż ci z tego przyjdzie, że w lotnym obłędzie,
Otoczę cię ramieniem — zwisnę w ust karminie.
Gdy tam duszy — ni serca — ni czucia nie będzie,
Lecz tylko ognik błędny, co błyśnie i minie.

I cóż ci z tego przyjdzie, że z tobą się spoję
Ślubnym węzłem — i naraz stargam aż dwa życia? —
Ja czekam odpowiedzi i przed tobą stoję,

Otwarcie mówiąc: iż to próżne mary — śnicia —
Abyś ty swoją piersią moją pierś rozgrzała,
Abyś śpiącego ducha złudzić była zdolną!

Ah! żyjmy zdala siebie — Ty święta i biała —
Ja — zgubiony i smętny! —
Patrz! — tę różę polną,
Co błądzi w twoich włosach, zerwał ktoś w prze-
chodzie:
Ona dzisiaj prześliczna — lecz słuchaj dziewczyno!
Ona zwiędnie i zblednie — i barwy przeminą —

Ja jestem jak ta róża zwiędła — o zachodzie
Dzień, co w ostatnie blaski słońca się ubiera —
Lecz nie długo noc czarna wejdzie w światel drogę.
Dzień jasny blednie coraz — aż w chmurach
umiera —
. . . . . .
Szkoda cię — bo nikogo już kochać nie mogę!

Josefstadt. 1865.

NASZA DOLA.

Smutno żegnać ojczystej ziemicy obszary,
Smutno po raz ostatni ściskać lubej dłonie,

I matki pocałunek brać — i krzyżyk wiary —
Całą pamięć przeszłości zawieszać na łonie.

Smutno o krwawym słońca za bory zachodzie,
Żegnać swój domek biały w łzawych brzóz szeregu.
I śledząc lotne szarfy fal w wiślanej wodzie,
Porównywać dni szczęsne życia do ich biegu.

Ale stokroć okropniej, żegnać drogich sercu.
I mówić: do widzenia! kiedy w łona nucie
Brzmi wiecznego rozdziału żałobne przeczucie;
Kiedy już uschło kwiecie na życia kobiercu,
A przyszłość taka smętna łzami — krwią czerwona,
W tyle mogił ubrana i tak nieskończona!

Straszno potem, w oddali kochanej krainy
Pić gorycz, której pełen jest żywot tułaczy;
I nigdy powitania nie marząc godziny,
Przewidywać los przyszły w bezmiernej rozpaczy.

Jak wędrowiec w pustyni, gdy mu wiatr złowrogi
Pieśń śmierci niedalekiej wyje o palm szczyty,
Daremnie szukać szczęścia przebieżanej drogi
I z nadzieją szaloną patrzyć na błękity!
Choć się przez nic nie przedrze nigdy promień słońca —

Choć pewność, że minionych chwil nic nie przywoła.
— — Ah! życie takie — czara spełnionej trucizny,
Życie takie — męczarnia krwawa, a bez końca.
Jakieś niebo za grobem nawet jej nie zdoła
Ulżyć — bo nie zastąpi nigdy nam ojczyzny!

W Mazowszu, 1863.

NIE DLA MNIE.

W duszy łzawo — w piersiach żal —
Bo nie dla mnie życia kwiat,
Złotem tkany czarów strój,
Uśmiechnięty — jasny świat —
I ubogi domek mój
U rodzinnej wisły fal.
Otulony w kwietną błoń! —

Przeminione szczęścia dnie.
Pocałunek matki w śnie —
Ukochanej biała dłoń —
Wszystko to nie dla mnie — nie!

A jednak, choć wiem jaki los czeka —
Choć myśl żałobna błądzi u czoła
Biedne to serce nadziei czeka,
Pieśń z mojej harfy nadziei woła.
I ciągle dumam — i ciągle marzę —
Oczy do wschodu wiecznie przykute!
Z towarzyszami, gdy się rozgwarzę,
To słowa nasze w jedną myśl snute:
«Ulżyj nam Boże ciężkiej rozpaczy —
I do ojczyzny powróć tułaczy.»

Wszystko daremno! — Życia osatki
Na co — i lutnia — marzeń skarbnica —
Kiedy nie dla mnie ojców ziemica
Biała dłoń lubej i uścisk matki!
— — Toż mi łzawo, w piersiach żal —
Bo nie dla mnie życia kwiat,
Złotem tkany czarów strój,
Uśmiechnięty — jasny świat —
I ubogi domek mój
U rodzinnej Wisły fal,
Otulony w kwietną błoń! —
Przeminione szczęścia dnie,
Pocałunek matki w śnie,
I kochanej biała dłoń —
Wszystko to nie dla mnie — nie!

Wawel, 1865.

CZEMU JESTEM SMUTNY.

Do Rosyny W . . . . . .

Pytasz, czemu'm smutny? — Czemu
W mojem oku błądzi łza,
A na licach bólów cień? —

Mój aniele! sercu twemu,
Co miłości piosnkę gra,
Zda się łatwo z goić bliznę —
Więc gdy możesz — zmień mi — zmień
Tę ziemicę na ojczyznę!
Piętno męczarń zdejm mi z czoła,
Cierń co krwawi młodą skroń —
I od serca ciężki ból!
A wróć dawne sny anioła,
Ukochanej Wisły toń,
Chatkę mą z Mazowsza pól!

Pytasz, czemu'm smutny? — Czemu
Nawet wtedy smutek rwie,
Gdy z ust twoich czerpię skarb? —

Ach! bo mało sercu memu
Ustka z koralowych farb —

Mało źrenic gwiazdki dwie.
Mnie koniecznie dawnych czasów,
Dawnego wesela trza;
Modrej Wisły, pól i lasów,
Wiatru, co tak smętno gra,
O szeregi brzóz płaczących —
Pragnę swoich serc gorących —
Miejsc, gdzie ludzie lepsi — szczersi —
Gdzie jest dusza i myśl zdrowsza —
I powietrza smętnej piersi.
Lecz naszego — od Mazowsza! —

Wtedy — pieszcząc łono twoje,
W pocałunków tonąc czar,
Stracę łzy te — niepokoje —
I żałobnych szereg mar —
A oddany szczęściu twemu,
Oddam ile serce ma
Życia, w sobie a pierś tchnien!

Ale dziś? — nie pytaj czemu
W mojem oku błądzi łza —
A na licach smutku cień!

Augsburg, 1866.

TRZY DOBY ŻYCIA.

I.

W kołysce, owitej w pól ojczystych kwiecie,
Przy nogach matki — w wianku z białych róż,
Śpi kołysane śpiewem małe dziecię,
A w nogach u kolebki — stoi anioł stróż!
I w krzyż nad nią ułożył srebrnych skrzydeł sploty,
Dumał, jakie w niemowlę uczuć skarby włoży —
Jaką zaszczepi miłość ojczyzny i cnoty —
Jak prosto poprowadzi śród życia bezdroży!
I tak z dnia na dzień, śród ubogiej chatki
Czas płynie — anioł czuwa — a matka pieśń nuci.
. . . . . .
Bóg cząstkę ducha swego wlał w dziecię dla matki —
Duch z ciałem potężnieje — czy do nieba wróci? —

II.

Aż nadszedł czas rozwoju: w dziecku myśl młodieńca
Zastąpiła niewinną za kwiatkiem tęsknotę,

I do snów o motylach uroczego wieńca
Zaplotły się marzenia złote
Powstającej przyszłości! —
A matka pieśń śpiewa
Już inną, jak przed laty, choć boleje skrycie —
Anioł stróż pieśń tę bierze i do serca wlewa:
Synu! ty masz ojczyznę — dla niej twa krew,
życie! —
I tak powoli spełniają zawodu
Anioł stróż — matka Polka — nucąc dla zachęty!
. . . . . .
Bóg wlał w piersi młodziana ducha dla narodu —
Duch z ciałem połężnieje — czy spłaci dług święty?

III.

Na stoku cytadeli lśni zastęp kozaczy,
Rusztowanie — kat carski trzyma krwawy nóż —
Lud cichy, ale straszny milczeniem rozpaczy —
Matka — i zapłakany przy niej anioł stróż!
Już prowadzą ofiarę — dłoniami drżącemi
Wziął krzyż z ręki kapłana — ten znak wiary bratniej!
«Narodzie! — rzekł — wypłacam dług ojczystej ziemi!»
Umilkł — kat wzniósł żelazo — to był krzyk ostatni

I ziemią przysypali nadzieję narodu,
Anioł stróż tylko czuwał nad mogiłą wzbity.

. . . . . .

Bóg wlał w pierś męzką ducha — ten spełnił zawodu,
I rozłączony z ciałem — powrócił w błękity!

Lwów, 1863.

CIENIOM WŁADYSŁAWA WAGI.

Dziecięciu matka do snu zamykała oczy,
Nucąc naszych rycerzy i hetmańskie dumy —
Młodziana wykołysał szmer Wisły uroczej,
I śród ojczystych borów mętne wiatru szumy.

Potem ludek nasz biedny wziął serce prostotą,
I zachwycał — i skarby tworzył w niem bogate —
Potem męka narodu w łez ubrała szatę.
A genjusz podarował myśl i harfę złotą.

Toż młodzian zaraz poczuł, że mu pieśni trzeba,
I dobył z cudnej harfy najrzewniejszych tonów;

A piosenki serdeczne płynąc tam — do nieba,
Płakały przed wszech-stwórcą skargami miljonów.

Wtem — błysnął dzień wesela!
Wieszcz nam już nie śpiewał,
Tylko, choć słaby ciałem, wziął szablę do ręki,
I w ojczystej ziemicy pieśń swą w czyn przelewał,
Dostrajając na karkach wrogów ton piosenki.

* * *

Potem nieszczęsny tułacz, bez rodzinnej ziemi,
Śmiertelne zaległ łoże pod nieswojem niebem,
I z oczami namiętnie na wschód zwróconemi,
Cierpiał nad losem braci — i kraju pogrzebem.

Potem — z zmarłego wieszcza pozostały zwłoki:
Czarny krzyżyk ozdabia tułacza grób cichy,
Nad nim dumają bracia i cyprys wysoki,
A o wieczorze łzawią się kwiatów kielichy.

* * *

I tyle z przyszłej chluby kraju pozostało! —
Zwiędł kwiatek, rozdzielony z życiodawczą niwą—
I gasł poeta, co kiedyś miał być Polski chwałą,
Tylko pieśń jego smętna pozostała żywą!

Śpij wieszczu! — Los twój smutny każdego z nas losem!
Za grobem tylko szczęście, bo tutaj w cierpieniu
Używa się — marzy — tęskni i rozpaczy głosem
Darmo woła o Polskę — darmo o zbawienie!

Śpij wieszczu! — tam już lepiej — srogi ból nie gniecie —
Nadzieja głupia — zwodna — serca nie przepali —
Tobie niebo — bo jeśli jest na drugim świecie,
To pewno dla tych tylko, co swój kraj kochali!

Josefów. Sierpień, 1865.

POŻEGNANIE OJCZYZNY.

Żegnaj — żegnaj ziemio święta!
Już cię nigdy nie zobaczę —
W piersiach smutków rój.
Nieskruszone Twoje pęta —
Ty znow we krwi — my tułacze —
Ziemio polska — ziemio święta!
Żegna cię syn Twój!

W świat daleki idę sobie,
Bo tu miejsca już nie staje

Dla mnie! — Próżny żal —
Ty w żałobie, ja w żałobie —
A więc w obce, w obce kraje
Z łzą i lutnią pójdę sobie
Snuć marzenia w dal!

Chciałbym wyrzec: do widzenia!
Ale serce ustom sprzeczne —
Smutek z niego tchnie.
Próżne moje łzy, westchnienia —
Ciernie w życiu są konieczne.
Nie ma dla mnie: do widzenia!
Nie ma szczęścia — nie!

Tam zostało wszystko moje:
Ty i ona — ubóstwiane —
Wszystko tracę wraz.
Prysły świetnych marzeń roje,
Jako liście wiatrem zwiane!
A więc żegnam szczęście moje,
Żegnam! żegnam was!

Z OBCZYZNY.

Ach! cóż nie dałbym, mój Boże,
Bym choć w jedno mgnienie z wami
Mógł się dzielić szczęściem, łzami —
Jak było przed laty!
Chociaż chwilę o wieczorze,
W cichym, czułym łez uścisku —
Lub siąść społem przy ognisku
U rodzinnej chaty!

Ach! cóż nie dałbym, mój Boże,
By przez jedno tylko mgnienie,
Pełną piersią chwycić tchnienie
Naszych pól i lasów!
Ujrzeć krzyż, co na rozdroże
Patrząc, w wieniec kwiatów strojny,
Przeżył silny i spokojny
Tyle ludzi — czasów!

Bym o cichej nocy letniej
Te urocze słyszał pieśni,
Wytworzone z łona cieśni
Niby słowa boże. —
Lub gdy niwa się zakwietni,

Widział dzieci, jako kwiaty
Niosą — polne bzy — bławaty —
Pod krzyż na rozdroże!

Jak utrzymać myśl na wodzy!
Ah! ta żądza pierś przepala,
By choć we śnie — by choć zdala
Ujrzeć lube strony! —
Wszystkich co są sercu drodzy!
Obraz ten mi z lat uroku,
Z lat dziecinnych błyska w oku,
Jakby dziś stworzony!

Nieraz, kiedy za drzew szczyty,
Słońce kryje się promienne,
Niby tęskne, niby senne —
Mnie się myśli roją:
Że bezchmurne te błękity,
Co dziś zwisły na obczyźnie,
Wczoraj były w mej ojczyźnie,
Nad zagrodą moją!

I tak, gdzie się oczy zwrócą,
Żal — żal w piersiach tam za wami
Za młodością i jej snami,
Życia wdziękiem — kwiatem —

Ha! daremno! nie powrócą
Jasne blaski gwiazdzie zbladłej —
One zgasły już, przepadły
Śród bojów ze światem!

Apolda, 1866.

MODLITWA DO OJCZYZNY.

Słuchaj Matko! nie ma Boga —
Tylko ty nad nami w górze,
Przenajświętsza, choć przez wroga
Skatowana i podarta,
Załzawiona — tam w lazurze
O złamany sztandar wsparta!
Tylko ty — a więc do ciebie
Szlę modlitwę, matko droga,
Bo ty zamiast Cara-Boga,
Ty panujesz dziś na niebie!

Przez szubienic stu ramiona,
Pod któremi naszych rzesza
Za twe święte imię kona;
Przez jęk sierot, co się miesza
W wycie wiatru z pól, smętarzy —

Skargi starców i wdów płacze.
Wszystkie męki i rozpacze,
Przez miłość, co do cię żarzy
Nawet w piersiach niemowlęcia,
Matko smętna, błagam ciebie!
Weź tułacza, weź do siebie,
Pozwól zaledz w twe objęcia!

Przez ból matek, którym dzieci
W step Sybiru zawleczono,
I gdzieś w śnieżnej tam zamieci
Sknutowano — umęczono —
Przez krew, którą nas zalali,
Przez stos kości z cytadeli,
I swobodę, którą wzięli,
Hańbę, którą w zamian dali —
Przez śmierć tych, co oszukani,
Że broń będzie, padli marnie
W bój przedwczesny zdradą pchani —
Przez boleści, łzy, męczarnie,
Jakie pierś każdego syna
Rozdzierają, a bez miary! —
Biedny tułacz cię zaklina:
Pozwól ujrzeć twe obszary!
Daj się widzieć choć przy zgonie!
By wzrok w chwili tej ostatniej,

Dojrzał smętnej twarzy bratniej,
I na twojem spoczął łonie!

Kissingen, 1866.

KOCHAŁEM.

Kochałem dziewczę — czarne miało oczy,
Z nich płynął błyskawic strumień,
A w białem licu sen jakiś uroczy
Wybrylantował ślad tęsknych zadumień

Kochałem dziewczę — obrazek Madonny:
Świat w jej spojrzeniu i życie widziałem;
Ale już minął czas niepowrócony —
Gdzież dziewczę moje — gdzież skarb co kochałem?

A piękną była moich snów królowa:
Kwiat najpiękniejszy z bożych kwiatów wianka,
Piękną jak zorza letniego poranka,
Gdy zapłoniona przed słońcem się chowa!
Piękną — bo dusza i miłość u łona
Tak szczera, prosta, jakby dziś stworzona.

Pamiętam jeszcze ten uśmiech tęsknoty,
Gdy polnem kwieciem obrzucała włosy;
Albo znów łzawe spojrzenie w niebiosy,
I twarz owiana bladą mgłą tęsknoty.

Wesoła, smętna w przemiany, jak dziecię,
Źrenic pożarem, cudnem piersi tchnieniem —
Tak mnie bywało w snów widziadła wplecie,
Tak oczaruje anielskiem wejrzeniem,
Że radbym — tuląc jej dziewiczą postać —
Jedną całunku nieskończoność zostać!

Potem dnie walki — rumieńca i szału —
Szczęście bez granic, wspólne myśli, tchnienia —
Potem łez kilka — a z niemi pomału
Żal za przeszłością i wyrzut sumienia.

A potem uśmiech przez łzy się wychyla,
«Przebaczam», szepczą koralowe usta —
I znów wesoła i jak dziecko pusta;
I znów nie jedna upojenia chwila!

Wszystko pamiętam! —
Dziecko snów i marzeń,
Wierzyłem w związek, co zwią: niezłamany,
Duszę namiętną i pragnącą wrażeń
Wziąłem za uczuć zdrój niewyczerpany!

Marzyciel w pieśni — przymknąłem powieki,
Patrząc przez ułud tkań w kobiece serce,
Widziałem ogień, gdzie w lada iskierce
Tlała już resztka przeszłości dalekiej.

I tak rok minął! —
Ha! czas niepowrotny! —
Już ukąraną wiara zaślepiona,
I dziś znów jestem tęskny i samotny.

. . . . . .

Gdziez mego życia anioł jest? — Gdzie ona? —

Kraków, 1863.

NIEZNAJOMEJ.

Gdybym ja był poetą i piosenką smętną
Umiał rozmarzać jasnych aniołów w błękicie,
Gdybym umiał tak budzić serc dziewiczych tętno,
Jako słońce dźwięk budzi w Memnona granicie;
Gdybym duszą Juljusza śród wspomnień łańcucha
Błądził tam — za światami, kędy gwiazdy żarzą —
Poszukałbym dziewicy z najpiękniejszą twarzą —
Anioła, co najświęciej mej piosenki słucha.

Poszukał tu na ziemi i w błękitnem niebie,
Czy nie znajdę snów moich — czy nie znajdę ciebie!

Raz tylko jeden blysnął twój obraz przed oczy —
Ciemnych włosów pierścienie i tęsknota w twarzy —
Raz tylko — i znikł dla mnie obraz — sen uroczy!
Lecz myśl błądzi za twoją — dusza twoją marzy!
Czy cię znajdę w tem życiu? — Któż przyszłość rozcieni? —
Gdyby wolności chwila, a w ojczystej glebie —
Jeden sen z światów gwiazdek — aniołów — promieni —
Lub gdybym był poetą — ach! znalazłbym ciebie!

Józefów, 1865.

DO K . . . .

w dzień Imienin.

Cóż ci poszlę w dzień imienia?
Czem uświęcę drogą chwilę?
Ach! jedyna — wierz mi, wierz —
Nie mam nic, nic, prócz wspomnienia,
Co na szczęścia tkwi mogile —
Więc wspomnienia moje bierz! —

Ha! mam jeszcze łzę na twarzy,
Lutnię w ręku — pieśń u lutni,
Co w żałobne tony drga! —
Ona cieszy, gdyśmy smutni,
Z nami płacze — z nami marzy —
Więc niech służy ci pieśń — łza!

Nie ozdobna, nie uczona,
Może w formy nie ujęta,
Ni w wyrażeń strojna czar —
Ale płynie prosto z łona:
Taka nasza, łzawa, święta —
Więc ją przyjm jak serca dar!

Skreślać ci jej nie potrzeba.
Jakaż dłoń byłaby zdolna
Wygrać szczery serca ton? —
Dość powiedzieć, że pieśń wolna
Leci tam, gdzie nasza gleba
I błękitów naszych skłon.

Kocham, czczę — na pierwszą nutę
Druga w wspomnień fali płynie —
A nadzieją trzecia tchnie!
Inne na przyszłości snute,
O spotkania śnią godzinie,
Marząc jasne, błogie dnie!

Taką rzucam pieśń! — Niech leci
W mazowieckich lasów głusz —
Tam myśl o mnie spotka może,
I promienno z nią zaświeci,
W niezapomnień jasne zorze,
W święty związek dwojga dusz!

Taką rzucam pieśń! — Cóż jeszcze,
Cóż udzielić mogę ci? —
Chyba sny przyszłości wieszcze,
I marzone szczęścia dni!
Każde piersi mej westchnienie,
Cały smętnych dumań rój,
I stokrotne zapewnienie:
Żem ja zawsze — zawsze twój!

Józefów, Sierpień, 1865.

ZAPÓŹNO.

I.

Chcecie, bym rozchmurzył czoło,
I piosenkę dał wesołą,
I wesoły akord z lutni? —

Ach! chciałbym uczynić zadość
Waszej woli — ale radość
W piersiach już nie żyje;
I w mem sercu coraz smutniej —
Bo się krzyża
Droga zbliża,
I cierń na skroń wije!

II.

Chcecie, abym jak przed laty,
Siadłszy w progu mojej chaty,
O rycerzach snuł powieści?
I zaszczepiał w dziatwie młodej
Miłość kraju i swobody? —
Ha! to rzecz nie moja! —
Ludzie źli zbawili cześci!
W poniewierce
Pękło serce,
I piersiowa zbroja!

III.

Śpiewać, wskrzeszać — to nie pora!
Ja już nie ten, com był wczora!
Życie moje w grób się chyli—

Ja już nie śnię błogo, dumnie —
Cała przyszłość moja w trumnie
I życie w żałobie! —
Bo mnie duchem już zabili —
Świetne mary,
Sny i czary.
Pochowane w grobie!

IV.

Ja wiem, że się to nie darzy,
Gdy u wszystkich radość w twarzy,
Smutnym być w wesołem gronie!
Ha! gdy chcecie — wiek dziecinny
Wróćcie mi, a będę inny,
Łzy na uśmiech zmienię.
I odżyją pieśni w łonie,
Jasne — czyste —
Promieniste —
Niby wiosny tchnienie!

V.

Lutnia w struny zdobna świeże,
Po naszemu, prosto, szczerze —
W Wisły szmerze, w wiatru szumie,

W cichej wiary prawdy słowie —
Co się czuje, to wypowie
W narodowej nucie!
Naród taki hymn zrozumie,
Bo duch boży
W nim wytworzy
Polską krew i czucie.

VI.

Ha! nieszczęście! — nie mnie, nie mnie
Pieśnią spędzać nocy ciemnie
I obudzać śpiący naród.
Nie mnie błyszczeć w wielkim czynie!
Co ma ginąć, niechaj ginie —
To już wyrok boży.
Nie uleczysz, gdy mąk zaród
Ciągle płonie,
Albo w łonie
Rana się otworzy!

VII.

A więc proszę słowem — łzami —
Zapomnijcie żem żył z wami! —
. . . . . .

Bo wspomnienia mnie nie zbawią,
Tylko większy żal zostawią
Za przeszłości dniami!

Rorschach, 1867

DO . . . . . .

Gdy smętną była mego życia droga,
Dawniej marzyłem o niebie;
Dziś dusza ma wiarę zmienia,
I jak się dawniej modliłem do Boga,
Tak dziś — dziś tylko do ciebie —
Do ciebie szlę me westchnienia!

Gdy łza na rzęsach jak brylant zalśniła,
A w piersi tęskno i ciemno,
Niby śród grobowej głuszy—
Wiara w wszech-stwórcę niezachwianą żyła!
Dziś — ty panujesz nademną,
Tyś wiarą serca i duszy.

I jak w modlitwie składając me dłonie!
Szlę ci miłości pacierze,
Dziewczyno moja urocza! —

Wzrok mój nie w górę — lecz na północ tonie,
Gdzie ziemi mężnych lew strzeże,
Gdzie serca — nieba przezrocza!

I z cichym wiatru górskiego szelestem
Płynie ta modła do ciebie,
W sercu namiętnem poczęta! —
Jej wyrazami: kocham — stały jestem —
Żyję dla ciebie — przez ciebie —
Niepokalana i święta!

Heiden, 1867.

PRZYPOMNIENIE

do Elwiny D.....

I.

Pamiętasz? — Był wieczór; blask srebrny księżyca
Drżał w falach jeziora i bielił gór szczyty.
Jam tulił twą postać — spoglądał ci w lica,
I w cudne — ach! cudne twych oczów błękity.
Na piersi me główka w włos kruczy owita
Opadła roskosznie — a usta w szept cichy

Nuciły pieśń szczęścia, jak kwiatów kielichy,
Gdy wietrzyk je ranny uściskiem powita.
Tak chwila ubiegła — ha! wieczność w tej chwili!
A wiesz, mój aniele, co wieczność upojeń?

. . . . . .

Zbyt błogośmy chwilą tę wieczność prześnili —
Zgasł promień księżyca w mgle, kryjąc czar
rojeń! —

II.

Pamiętasz? — Noc była — pod kwietnych lip cieniem,
Me usta całunek na usta twe kładły.
Oddałaś go luba wpół trwożna — ze drżeniem —
Dwie perły — dwie łezki z ócz twoich upadły.
Jam modlił — i prośbę uściśnień krociami,
Wszczepiałem w roskosznych ust twoich korale —
Przysiągłem, iż będę ubóstwiać cię stale,
Lecz myśli o ślubie nie było tam wcale!
Tak chwila ubiegła — sen niby uroczy,
A wiesz, mój aniele, w co sen ten bogaty? —

. . . . . .

Zbyt długo zamknięte mieliśmy w śnie oczy,
Prześniła się wiosna — z nią urok i kwiaty.

III.

Pamiętasz? — Był ranek; z za kotar ujęcia
Pół-światło w pokoju walczyło z pół-cieniem;
Jam lubił twą postać schyloną w objęcia,
Westchnienie mej piersi zlał z twojej westchnieniem —
Pamiętasz? — To dawno — któż przeszłość pamięta!
Gdy błyskiem zleciała jak gwiazda z pod nieba?
Ja z ciernia — ty dzisiaj z hymenu masz pęta —
Mnie szabli — a tobie? cóż tobie potrzeba? —
Znów szklannych fal jezior i blasku księżyca —
Wpół chwili wieczności — wpół cieniu, lip szumu,
Lecz przytem innego i serca i lica!
. . . . . .
Więc baw się — to więcej warte od rozumu!

Wawel, 1864.

ODPOWIEDŹ
NA LIST SENTYMENTALNY

pani Łucji Ol.... z domu Sw....

Kiedyś, gdym za jedno słowo
Z ust twych życie pragnął dać,

Jeden uśmiech krwią opłacić
I przyszłością snów majowo —
Nie chciałaś mnie pani znać,
I — nadzieję'm musiał stracić.

Miłość wkrótce uleciała,
Bom zawładnął serca szałem.
I gdyś ze mnie żartowała,
Już cię wtedy nie kochałem.

Dziś, los w zmianach swoich skory
Tak postawił nas do siebie,
Że kobiecej duch przekory
Kochającą zrobił z ciebie!

Czy dla tego, że myśl moja
W inną stronę dzisiaj bieży—
Czy dla tego, że dłoń twoja
Do innego dziś należy? —

Ha! któż to wie — ale czuję,
Że w mnie zgasła mrzonka młoda!
Pani kochasz? — wielka szkoda,
Bo dziś — to znów ja żartuję! —

Józefów, 1865.

SZKODA.

Szkoda, szkoda twej młodości,
Że tak marnie ci upływa —
Kochać słodko, lecz miłości
Ofiarami się nie nęci,
Dla zabawki nie przyzywa.
A czas figlarz, chyżo biegnie,
Szczęście lada wietrzyk skręci,
Zanim młodość w grób zalegnie.
Kochać chciałaś! lecz dziewczyno,
Ogień ten trza ogniem stworzyć.
Dał ci Pan Bóg cudne ciało,
Ale serca zabył włożyć.
To i na co się przydało
Wabić oczkiem, słówkiem, miną?
Ej! nie schwycisz więcej w sidła —
Już się nikt w nie nie dostanie!
Miłość twoja czcze mamidła.
Łza, wzrok, uśmiech — udawanie.
Odrzuć więc strój zalotności,
Dla nas wabem on nie świeci —
Ofiar brak już — a czas leci,
Szkoda! szkoda twej młodości.

Czarów życia z snów ogrodu
I straconych latek szkoda.

Józefów, 1865.

WYJĄTEK Z POEMATU!
„WSPOMNIENIE“

Czy ja cię kocham? dowodu ci trzeba? —
Pytaj więc kwiatów, czemu tak błyszczące,
Gdy patrzą w niebo jasne i błękitne
Słuchaj! jam kwiatem u twojego nieba!
Chmurne? — W atomy — w nicość się roztrącę —
Pogodne? — Nową roskoszą odkwitnę,
I oczy w lazur ócz twoich zatoną,
I piersi ogniem twych piersi rozpłoną!

Czy ja cię kocham? — Ach! nie bluźń aniele!
Ja już przeżyłem męczarń, bólów wiele —
Jam umarł w pieśni mej ostatniej nucie!
Lecz dusza, budząc twojej duszy siły,
Nowe w me ciało przelała uczucie —
Może nie ziemskie, smętne, z za mogiły -
Lecz czuję, że dziś odrodzony, nowy,
Wstanę pod tchnieniem twem jak kwiat majowy;

Jam życie całe przebłądził, przemarzył —
Po za światami, w chmur i gwiazd zamęcie.
Milczał w nicości, w świecie ludzi gwarzył
Chmurno i jasno — zbrodniczo i święcie!
Tysiąc zachwytów i rozczarów tysiąc
Zabłysło — i już byłem w piekle, w niebie —
Ale ja śmiało mogę dziś zaprzysiądz,
Żem już zapomniał wszystko — oprócz ciebie!

Żeś ty, i zawsze ty — przy mojej harfie
Głos twój się plącze w złotych strun wiązadła —
Na zapłakanej pieśni staje szarfie
Twa postać cudna, choć męką pobladła!
I wzrok twój łzawy, wilgotny jak rosa,
Co o księżycu stroi pól kobierce —
I dusza twoja czysta jak niebiosa,
I serce twoje — czarodziejskie serce!

Jam wszystko stracił — tylko Polska jeszcze,
Ta męczennica, została mi święta!
I w głębi piersi snów przeczucia wieszcze,
Że kiedyś pieśń ma pokruszy jej pęta —
Do szabli zbliży z pod knuta, łańcucha,
Że jak Tyrteusz na bój ją powiodę —
Memu ludowi natchnę w piersi ducha,
By umiał zginąć, lub zyskać swobodę!

A jednak, Marjo, jedno twoje słowo —
Zapomnę Polskę i uczucia własne —
Wżyły w źrenicę oczów lazurową,
Potrzaskam lutnię — i u nóg twych zasnę!
A gdy w ojczyznie olbrzymy niezłomne
Staną, gdy groby wyrzucą mścicieli,
Zapomnę, żeśmy matkę wskrzeszać mieli —
Żem syn jej, lirnik — dla ciebie zapomnę!

Roskosz z ust twoich czerpiąc życia czarą,
Smętny i łzawy, lecz wierny zostanę —
I choć się życie rozpryśnie z ofiarą,
W dniu zmartwychwstania — ja nie zmartwych-
wstanę!
A gdy ojczyzna popatrzy na syna,
Gdy łzą wyrzutu oparli powieki —
Ja powiem: Polsko! przebacz mi jedyna,
Lecz ja ją kocham — lecz jam jej na wieki!

Słuchaj! ja czuję że miłość ta — zbrodnia!
Przekleństwo dla mnie i boleść bez końca!
Ale mój Boże! przecież widzim co dnia
Kwiaty, jak więdną i schną w blasku słońca!
A cóż są winne? —
Ach, Marjo, ma droga!
Dla ciebie'm zrzucił uczuć szaty białe,

Dla ciebie'm zrzekł się ojczyzny i Boga,
Dla ciebie szczęście me stargałem całe!

I sam śród swoich — pieśniarz, a bez lutni —
Polak, a z pustką w piersi, miasto duszy —
I już gdy bracia moi będą smutni,
Na pocieszenie dłoń ma strun nie ruszy!
I gromowładna — nad rycerstwa roje,
Nie pójdzie w serca ogłaszać dni błogie —
Bom ja dla ciebie oddał wszystko moje,
Wszystko co było święte mi i drogie!

Może ja jestem szalony? — Ach, Marjo!
Szaleństwo moje to ty, twoje oczy.
Rozkołysany brylantową arją,
Cały w twej duszy i twarzy uroczej,
Ja konam, patrząc — konam z uwielbienia
Dla błękitnego ócz twoich spojrzenia!
Marzenia ognie, duch mój ogień kreśli —
A w nieskończoność wieczności i myśli!

Marjo! Ty wierzysz, że gdy przyjdzie koniec
Ciału — i legnie pod grobu nakrycie,
Dusza poprzedzi ciało jako goniec
Tam — przed tron Boga, w nieśmiertelne życie.
I ja w to wierzę, co Bóstwo wyrzekło —
Ale samemu dążyć tam? — Mój jasny

Aniele, ja się zaprę duszy własnej,
Bo wieczność nieba bez ciebie — to piekło! —

Ja nie chcę nieba! co mi ono znaczy,
Gdy w twem objęciu mam lepsze na ziemi!
Wolę tu zostać — na piersi tułaczej
Błond-włosą główkę czuć twoją — drżącemi
Dłońmi przyciskać namiętnie do siebie,
Od uniesienia sfalowane łono —
W czarownem ócz twych, a bezchmurnem niebie
Przedłużać życie w wieczność nieskończoną! —

Tak jej mówiłem.
Jak kwiat o wieczorze
Chyli się do snu pod tchnieniem wietrzyka,
Lub jako w sto barw jaśniejące zorze
Przed powstającem słońcem blednie, znika,
Tak i twarz Marji promieniem purpury
Wpierw okraszona, chyląc się, pobladła —
I łzą zamgliły się jej ócz lazury,
I kryształowa łza na pierś mą padła.

Bo ona zlękła się miłości takiej,
Co ją Bóg nawet w swoją moc nie nagnie.

Tak orzeł prując nadpowietrzne szlaki,
Lęka się przebić łono chmur, choć pragnie —

Lęka się lecieć wyżej — jeszcze wyżej —
Gdzie nic — prócz jego lotu — nie postanie.
. . . . I ona chciała poznać co kochanie,
Byle nie z za gwiazd — byle ziemi bliżej!

Fürstenwalde, 1866.

DO RÓŻNYCH LUDZI.

Przeklęty dzień ten, w którym harfę w dłonie
Wziąłem raz pierwszy, ażeby wam śpiewać;
Przeklęty dzień ten, w którym serce w łonie
Zaczęło żywiej bić i krew rozgrzewać!
I chwila, w której wiedząc żeście smutni,
Modlił u Boga o genjuszu ognie,
Aby, gdy ducha hart wam boleść pognie,
Wzmacniać go znowu żywą pieśnią z lutni!
Aby, gdy zajdą gwiazdy na błękicie,
I czarna chmura zapłynie do koła,
Lżejszem wam było to niewoli życie,
I mniej kolącym cierń męki u czoła! —
Jam ufał: przecież nie zabiją swoi,
Bracia nie zechcą krwi bratniej przelewać;
Stojąc tak zdala od szczęścia podwoi,

Przynajmniej marzyć dadzą je i śpiewać:
Ile to czarów i uroków ile
W wielkiej się dobie zmartwychwstania kryje;
Jak to roskosznie, leżąc wiek w mogile,
Poczuć nareszcie, że się jeszcze żyje.
Ufałem! myślę! ha! więzów ohyda
Raz wam na myśli stanie, i na twarzy
Dzielna krew bladość niewoli przeważy,
Niepłodne dotąd drzewo — owoc wyda.
Bo wolno wierzyć w cuda. Wszak tam wasza
Religja, w której rządzą aż trzy bogi,
Potęgę wiary szeroko rozgłasza. —
Mówi: że góry można zepchnąć z drogi,
Ze skał pękniętych pod słońca ogniami,
Z suchej pustyni wywieść źródło życia,
I z błękitnego niebiosów nakrycia
Wywołać piorun, by grzmiał nad carami! —
Wierzyłem! — i choć przeciwności ręka
Gniotła ku ziemi, rwałem się w błękity;
Choć pierś śpiewaka skołatała męka,
Czułem już coraz bliżej nieba szczyty.
Myślałem: byle wytrwania i woli —
Pieśnią czyn zbudzę — a czyn nas wyzwoli.

Głupi kto marzy,
Kto w trupiej twarzy
Chce jakieś myśli wyczytać.

Szalony i bezrozumny.
Kto podjąwszy wieko trumny,
Zeschłych kości śmie się pytać:
Gdzie duch poszedł po skonaniu,
Ciała — gdzie myśl, co tak śniła?
Szalony, kto o zmartwychwstaniu
Śnił, w kim ta nadzieja żyła!

Wczoraj myślałem, że chociaż mnie kałem
I obelg błotem skryjecie rodacy,
Ja wszystko przetrwam, nie ugięty w pracy,
I że zwyciężę — wczoraj tak myślałem!
Dziś widzę, że się przepełniła miara,
Że gdzie przeważna większość woła nocy,
Gdzie wody świętej zamiast krwi chce wiara,
Tam nie ma takiej pieśni ani mocy,
Któraby śpiących zdolną była zbudzić,
Lub w nieśmiertelność idei pchnąć ducha —
Tam nie potrzeba daremno się trudzić,
Bo co raz skute — skona u łańcucha!

W was nigdy ducha nie było — wy z głazu
W jedną noc czarta na pośmiech stworzeni
I rycerskiego w was przodków obrazu
Nikt nie dopatrzy — bo wyście zgubieni.
I naród, kiedy gromów dzień zabłyśnie,
Zapomni, żeście tu żyli w obczyźnie;

Za zapomnienie o biednej ojczyźnie,
Wstając z niewoli, przekleństwo wam ciśnie.

I mnię przekleństwo, żem stargał dni własne,
Żem na pustyni chciał wynaleźć ludzi;.
I tony lutni takie święte, jasne,
Kierował do tych, których nic nie zbudzi,
Zamiast w ojczyste zwracać je zagony,
Gdzie tyle jeszcze serc się cnotą pali! —

A więc przeklęty dzień ten, w którym tony
Mej harfy jękły — dla was skamieniali!
Przeklęta chwila, gdym w nią śmiał rachować,
Że można z trupów ludzi odbudować.

Lindau, 1867.

BAJKA NIE BAJKA

OFIAROWANA

WSZYSTKIM GŁUCHYM.

Śpiewał raz ktoś dla głuchych. Pieśń smętna,
żałosna —
Nucąc dzieje boleści, brzmiała tem boleśniej.

Słuchacze naturalnie nie zrozumieli pieśni,
A wykrzyknęli chórem: za śmieszna! — za głośna! —
Lecz śpiewak także głuchy, nie dosłyszał zdania,
I dalej im tęskniącą piosenkę wydzwania.
Aż nadchodzącej burzy rażeni łoskotem,
Wszyscy słuch odzyskali.
Co się stało potem,
Powie przyszłość — a z nami? — Mnie się właśnie śniło,
Że głuchy czy słyszący — będzie nam jak było!

w * * * Listopad.

DO S.

Słuchaj! tobiem przyszłość całą,
Może męki, szczęścia może,
Ale zawsze strojną w zorze
I poezji szatę białą,
Ale zawsze pełną wiary.
Bo w pomroce i nieznaną —
Poświęciłem, a bez troski —
I z zaledwo wszczętej czary

W kwiecie wieku — ot! tak rano
Odrzuciłem napój boski,
Nie pytając nawet siebie,
Czy mi wolno kruszyć harfę,
Inną życia wypleść szarfę,
I o innem marzyć niebie!
Czy mi wolno w ócz błękicie,
W ócz twych łzawych snów promieniu,
Całe przyszłe stopić życie,
Całą pieśń w twych piersi tchnieniu!

. . . . . .

Ha! któż to wie? — taka miłość,
Nie — szaleństwo takie raczej
Niepojętych czuć zawiłość,
Któż wie, czy mi kraj przebaczy? —
Czy przebaczy, żem tak skoro
Zabył powołanie moje,
I z genjusza świetne zdroje,
Zmienił w serce i myśl chorą?
Ha! to trudno! jedno tchnienie,
Jedno czucie rozczulałe
Dziś panuje tylko we mnie —
Boś ty moje szczęście całe —
Potępienie — i zbawienie!

Augsburg, 1866.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

Wielkiem oknem szpitalnej sali
Drżący księżyca promień wpada,
A w jego świetle postać blada
Na łożu leżącego człeka,
Tak marmurową się wydaje,
Iż prawie znać jako ucieka
Dusza — chce w górne wrócić kraje.

Smutną bo, smutną taka chwila.
W ciszy, co władnie tu do koła,
Byt grobowego znać anioła.
Z kościelnej wieży dzwonek jęczy,
I dźwiękiem swoim serce ściska.
W sali mnich siwobrody klęczy,
Przy nim gromnicy płomień błyska.

Na łożu ciemnowłosy młodzian,
Skrzyżował ręce swe na łonie
I szklannem okiem w przyszłość tonie.
Twarz piękna, pełna męskiej siły,
Niby karrary marmur czoło,
Tylko je troski poznaczyły —
Snać było w życiu nie wesoło!

Nad głową tuż karta z napisem:
«— — — — z Polski — wywołany —
Robotnik — tutaj zamieszkany —
Brak sił — suchoty —» a poniżej
Coś po łacinie. Konsyljarze,
Znać zanim jeszcze śmierć się zbliży,
Parę mu lekarstw dali w darze.

Chory zapewne wkrótce skona.
Robotnik — któż tam patrzeć bieży,
Jak nędznym śmierć swe prawo szerzy? —
Robotnik — któż, gdy umrze biedny,
Pójdzie go oblać łzami swemi?
Któż rzuci choć garstkę ziemi,
Lub modły nie poskąpi jednej? —

Robotnik — stypy ni muzyki
Nie będzie. Jednak ludzi rzesza
Do sali mimo to pospiesza,
W kół się chorego łoża tłoczy,
I czeka, rychło li się zbudzi —
W bladem mu licu topiąc oczy,
Lecz oczy hyen, a nie ludzi.

Nienawiść jakby w każdem tchnieniu,
Z każdego lica dziko żarzy.
Cichy śmiech szyderstw w każdej twarzy.

To dziwno! dziwno! znać ten człowiek
Wiele na swojej dźwiga skroni,
Że nawet w chwili zwarcia powiek,
Nienawiść go i tutaj goni.

Czemże przewinił? — Któż tam zgadnie? —
Tłum ludzi — ha! to są rodacy.
Częścią wspólnicy jego pracy,
Częścią panowie — różne stany —
Ot, jak w emigracyjnej braci,
Różny tłum — lecz w jedną myśl zlany.
Sąż to mściciele? — sąż to kaci? —

Ha! nie wiem. Któż tam — kto odgadnie?
Dość że przy łożu śmierci stali.
I nie wiem — czy mi się tak z dali
Wydało — ale w każdem licu
Grała nienawiść nieprzebrana,
I każdem lice, o księżycu,
Skrzywione widział w śmiech szatana.

Znów jęknął dzwonek. Z sakramentem
Dla konających ksiądz nadchodzi!
Może choremu skon osłodzi? —
Ha! — wyspowiada i przeżegna.
Wiele szczęśliwych jest śród krzyży,

Bo wierzą, że krzyż śmierć odegna,
Albo zbawienia dzień przybliży!

Chory wyrobnik na głos dzwonka
Rozwarł szeroke swe źrenice,
I wynędzniałe zwrócił lice
Ku słudze bożemu, co strojny
W komżę, by wysłuchać grzechy;
Topił mu w twarzy wzrok spokojny —
W nim jednak było brak pociechy.

Bo wzrok kapłana-rzemieślnika
Martwym był, prawie bez wyrazu —
Jakby z zakrystji zszedł obrazu.
Bo ksiądz nic nie czuł. Za pieniądze
Skrył mniszą suknią świeckie żądze,
I przyszedł wziąść na duszę miarę,
I ubrać ją na podróż — w wiarę!

Nareszcie wyrzekł cichym głosem.
«Synu! wierz w łaskę nieskończoną,
I złóż twe grzechy na me łono.»
Umierający podniósł głowę,
Rzucił swój wzrok na mnicha bacznie,
A potem w niebo lazurowe —
I tak powoli mówić zacznie:

«Chcesz, bym ci wyznał moje grzechy? —
Chcesz, abym wraz tak odkrył serce
Zbrudzone w łzach i poniewierce,
I wszystkich uczuć moich zdroje,
Już wyschłe w zapomnienia pleśni?
I wszystkie łzy i niepokoje
Znowu z łonowej wydarł cieśni? —

«Ah! to daremno! długie słowa
Próżne tu są i nie na czasie.
Wyznanie grzechów na cóż zda się,
Gdy z jednych obmyć tyś nie zdolny,
A drugie — ludziom zaszczyt robią.
Bo gdy te plamią — drugie w wolnej
Myśli, nas w nieśmiertelności zdobią!

«Każdy ma swój widzenia sposób.
Dość, gdy ci powiem, sługo boży:
Żem nigdy nie szedł po bezdroży!
A najbardziej ciężące blizny,
Co ranią duszę w obec wiary,
Są: żem zbawienia chciał ojczyzny —
Żem chciał obalić przesąd stary.

«Żem czuł, iż z wiarą, jaką wy nam
Dajecie wbrew nauki Chrysta —
Myśl się nie może zgodzić czysta,

Ni serce prawe — ni duch boży.
Że z nią śmierć bliższa każdej chwili,
Że z nią kraj biedny w grób się chyli,
A my chodzimy po bezdroży.

«Oto jest zguby mej przyczyną!
Za zbrodnię mi to czucie wzięto;
Ustami matki mnie wyklęto.
To jest przyczyną, że rodacy
Śmiech z lica mi — cześć z czoła wzięli!
Bo oni wszyscy Polski chcieli,
Lecz bez poświęceń — i bez pracy!

«Im dosyć było spać i płakać.
A nigdyśmy nie byli w zgodzie,
Jaką rozbudzić myśl w narodzie.
Jam zemsty chciał — oni ofiary —
Ja krwi — oni święconej wody —
Jam wołał Polski — oni wiary,
Męczeństwa — gdym ja chciał swobody.

I nigdyśmy nie byli w zgodzie.
Ja walczyć do ostatka chciałem,
I choć zgnębiony pod nawałem
Stu przeciwności — w znojach — trudzie —
Iść chciałem naprzód. — Lecz mi wzięto,

Co najdroższego mają ludzie:
Cześć z czoła — i ojczyznę świętą!

«Oh! bo wiedzieli, że moralnie
Zabitych, nic a nic nie zdoła!
Wskrzesić — że srom bijący z czoła,
Zamyka drogę, którą mają
Śpiewacy iść, by wskrzeszać naród. —
Że ci, co w sobie mąk tych zaród
Poczuli — już nie zmartwychwstają!

«Ot tak, zabili mnie, a swoi!
I pewni już, że pieśń gromowa,
Że żywa pieśń ta czynu — słowa,
Nie zniszczy błędów szaty starej
Z śpiącej ojczyzny — że myśl święta
Rozbije się o mnisze pęta
Sparodjowanej Chrysta wiary. —

«Tu jeszcze przyszli w takiej chwili
W półżywą pierś mą topić szpony;
Powiedzieć mi: żem zwyciężony —
Dopełnić jeszcze bólów miarę,
Wziąść skarb ostatni z czuć ołtarza,
I w lepszą przyszłość Polski wiarę,
A zatruć nawet skon nędzarza.

«Oto i wszystko, com miał wyznać.
Zresztą, ja sam zdam Bogu sprawę,
I sam policzę dni me krwawe.
Cierniowy wieniec i gorycze
Złożę u stóp mu — wskażę bliznę —
I pochowaną w grób ojczyznę,
I męki dla niej me policzę.

«Mordercom mym — i jej mordercom
Wszystkie cierpienia i rozpacze
W imię Chrystusa mąk przebaczę!
A ją uproszę, że ukryje
Przelanych łez niestarte ślady,
I zabroczoną pierś obmyje,
I śmiech obudzi w twarzy bladej! —

«I tak oboje pochyleni
Pod krzyżem tym, przed tron Jehowy
Staniemy w straszny dzień sądowy,
I będziem błagać myślą zgodni
Wszechwładcę z górnej tam krainy:
By nie chciał brać za zbrodnię — zbrodni,
By im odpuścił te przewiny.

«Oto i wszystko, com ci księże
Miał wyznać!» szepnął wysilony.
. . . . . .

Kapłan stał chwilkę zamyślony.
Nie wiedząc, czy dać boże ciało;
I długo serce się wachało
Z sumieniem — a z tem, co świat powie.*)

Ha! ksiądz mógł zacnym być człowiekiem,
Lecz w katolickiej żyjąc wierze,
Uczył jej drugich ludzi szczerze.
I ci wierzyli w swej prostocie,
Iż tylko ciemni słudzy Rzymu
Zbawieni są — a innych krocie
Wolnych od czczych kadzideł dymu

Muszą w głąb piekła upaść marnie.
I nie dziw! — Za nim wszystkich ludzi
Z niewolniczego snu obudzi,
Potęga rozumu i ducha —
Dużo upłynie wód do morza:
I wielu nie śniąc, że lśni zorza,
Śród nocy skona u łańcucha.

Zresztą, w tej chwili ksiądz spowiednik
Choć może w światłych ludzi gronie

*) Ksiądz jako katolik, zapewnie mimo i wykształcenia wierzył w zbawienny wpływ opłatka na duszę!
Przyp. Obł.

Odmienne czucia nosił w łonie,
I z zdrowem sercem — myślą czystą —
Czcił Boga czynem — nie językiem.)
Tutaj był prostym rzemieślnikiem
I niczem więcej — jak papistą!

«Synu!» rzekł, «sakrament krwi Pańskiej
Do oczyszczonych serc wejść może,
Lecz nigdy tam, gdzie imię boże
Bez czci jest nawet w chwili skonu.
Odżyj choć teraz w żalu — skrusze —
Schyl się do stóp bożego tronu,
A ja ocalę twoją duszę.» — (?)

Lekko uśmiechnął się młodzieniec
I rzekł: «Ja już tak zostanę!
Jak żyłem, tak przed Panem stanę.
Piekłem ni gromem się nie straszę,
Sądzoną będzie tam ma sprawa!
Żegnam cię — różne drogi nasze —
A kwestja jeszcze która prawa.»

I odszedł ksiądz, kiwając głową.
Wtedy współbracia, co w oddali
Dotąd w głębokiej ciszy stali,
Oblegli tłumem jego łoże,
Serdecznem darzą uściśnieniem,

I każdy cieszy jako może
Słowem, uśmiechem, lub spojrzeniem.

Jeden na przykład mówi: «Szkoda,
Że matka twoja chora, biedna,
Żyje tam w Polsce sama jedna,
I więcej cię nie ujrzy!» — «Wiele
Znać cierpisz» — znów dodał inny,
«Że trup twój będzie nie w rodzinnej
Spoczywał ziemi» — Przyjaciele!

«Ni ukochane dziewczę twoje,
Że nań nie rzucą piasku trocha.
Przykro umierać, gdy się kocha,
I gdy się młodość jeszcze śmieje.
Ha! twoja matka teraz w nędzy —
Lecz może jej kto da pieniędzy —
Nie umrze z głodu — mam nadzieję!»

«Żegnam cię! — jeszcze inny mówi,
Wiesz bracie, iż mi żal a szczery,
Że prawie wszystkie twe papiery
(Utwór, co tylko talent stwarza,)
Niedrukowane jeszcze giną;
Bo właśnie z winy gospodarza
Twego spłonęły przed godziną.»

I wiele jeszcze mu mówiono
W ten sposób. A on z Chrystusową
Pokorą znosił każde słowo.
I tylko przez rozwarte w sali
Okno, wzrok topił w nieba szczyty —
Gdzie księżyc na chmur łonie wzbity,
Drżał w srebrzystego światła fali.

Aż gdy tłum zemstę swą nasycił,
Chory zawołał: «Bracia moi!
Nie kłamie ten, co u drzwi stoi
Śmierci — i czeka już rychło-li
Wezwany przez wyroki boże,
Duch rzuci ziemię tę niedoli,
By wrócić w słońc i gwiazd przestworze.

«Nie kłamie ten, co wkrótce skona.
A więc wam serce me otworzę,
Byście patrzyli aż w głąb łona! —
Nienawiść niecę w was bez granic?
Dziś ona zgasnąć już powinna,
Bo się nie przyda więcej na nic —
Jutro już sfera dla mnie inna

Otwartą będzie w miejsce ziemi.
Dziś prawda — żyję życiem ludzi,
Lecz jutro duch się mój przebudzi

Tam — pomiędzy nieśmiertelnymi.
Tam — czucie ziemskie już nie sięga,
Człowieczy oddech czół nie kazi,
Myśl się w rozpaczy nie rozprzęga.

«Ni oczów szyderstw śmiech nie razi.
Wyście żegnali mnie serdecznie
Słowem — sztyletem w każdem słowie,
I chcieli zniszczyć duszę wiecznie,
Jak już zniszczyliście me zdrowie? —
Lecz ja się nie mszczę — i choć płaczę
I męka matki tam — ojczyznie,

«W niezagojonej żywa bliźnie —
Ja błogosławię — i przebaczę!
A tylko nim gasnące oczy
Na wieki grobu cień zamroczy,
I Bóg do siebie mnie zabierze,
By dźwignąć ducha z ziemskiej pleśni,
W struny ostatni raz uderzę. —

«I słowa dam ostatniej pieśni.
A nie klnę was na boże imię,
Byście koniecznie jej słuchali,
Bo ono w was oddawna drzymie.
I nie klnę was na matek łona,

Boście ochydę z nich wyssali —
Bo ich i wasza pierś zbrudzona!

«Ani na miłość klnę ojczyzny,
Bo ona przez was w grobie leży;
Boście zabyli śród obczyzny
O bólach i jej męce świeżej.
Ani na braci blade lice —
Pożary — kopalń loch głęboki —
Ani na setne szubienice —

«Srom i przelanej krwi potoki —
Ale na straszny dzień sądowy
Klnę was, gdzie będzie gromów władza,
Gdzie płomienisty miecz Jehowy
Narody karze i nagradza.
Na dzień ten, w którym cud stworzenia,
Ta wzniosła nieśmiertelność duszy,

«Cielesne więzy swe pokruszy,
I pójdzie w kraje odrodzenia.
Na chwilę tę, gdy z waszych oczów
Ziemskiej ciemnoty bielno spadnie,
I straszna rozpacz pierś owładnie,
Że nie wam istnieć śród przezroczów,
Że nie wam z górnej tam krainy

«Patrzeć na młode pokolenie,
Jak błogosławić będzie czyny
Wasze, i święte: cześć, wspomnienie!
Klnę was na męki nieskończone —
Na zębów zgrzyt i rozpacz wściekłą —
Gdy duchy wasze zbezczeszczone —
Z całą swą hańbą i szkaradą,

«Pójdą w wyrzutów wiecznych piekła,
Napiętnowane kraju zdradą.
Ah! czas jest jeszcze — czas swe życie
Tak jasnem stworzyć, jak w błękicie
Aniołów. — Czas jest, drodzy moi,
Wierzyć, iż tylko miecz kraj zbawi,
Że tylko rusznic grzmot postawi

«Naród, u wolności podwoi.
Ja ginę już — może za wcześnie. —
Ha — trudno! wyrok nie cofnięty.
Rozdziela od ojczyzny świętej —
Od matki, od niej! — Ach! boleśnie
Tak konać u życia rozwoju,
Co ulatuje niby we śnie!

«Bolesno zrzec się marzeń roju,
Iść tam — nie wiedząc, czy kto rzuci
Chociaż łzę jedną w grób — u trumny —

Lecz skonam — ach! skonam w pokoju,
Jeżeli pieśń ma was nawróci —
Skonam ostatnią pieśnią dumny! —
. . . . . .

«Podajcie lutnie! — Jam tak szczerze
Modlił się na niej memu Bogu,
Takie za Polskę słał pacierze,
Tak lata śnił o zemście — wrogu —
I każdym tonem, co z niej płynął
Takie obfite rzucał ziarno —
I wołał: że nasz kraj nie zginął —

«Że tyle krwi nie pójdzie marno!
Jam z lutnią tą, jak z matką moją,
Szeptał o losie Sławian ziemi,
I tulił dłońmi ją drżącemi,
Ozdabiał duchem — myślą moją —
Więc dajcie! dajcie mi tę lutnię —
Niech raz ostatni dźwięk z niej stworzę!»

I głowę schylił na pierś smutnie
I patrzy łzawo w tłum milczący.
Ha! chyba wzruszy kogo może
Ta twarz — i wzrok ten konający.
Nie wszyscy z głazu — może śpiewak

Znajdzie tam echo w czyjej piersi!

. . . . . .

Zamiast występnym rzucać groźby,
On błogosławił — a więc nie śmią
Odmówić tej ostatniej prośby.

. . . . . .

A on popatrzył w tłumy zebrane
Słodko — i razem tak rozpacznie,
Jakby w tym wzroku lśniły wylane
Z ziemi, nieba uczucia wyjęte,
Aż w tony łzawe — przejmujące — święte —
Taką pieśń zacznie:

OSTATNIA PIEŚŃ.

Gdziekolwiek wzrok obrócę — wszędzie męka,
Rozpacz i ból — znikąd nadziei — nie!
Przeklęty wróg uciska bez sumienia,
I gnębi wciąż i poniewiera nas!

Choć ucichł jęk i rozpacz matek bladych,
Gdy synów im wleczono w zimny step;
Choć puste już krzyży-szubienic place,
Pamięć tych dni nie zgasła w nas — ach! nie.

Pamięć tych dni, gdy starców siwo-włosych —
Gdy dzielną młódź zmuszano męczarń stem,
Polski się zrzec, albo przypłacać życiem,
Cześć dla niej i miłość dla rodzin swych.

Pamięć tych dni! — ach! zawsze będzie tkwiła,
I wieczór ów kwietniowy, kiedy wróg
Warszawski bruk, rozbitych czaszek mózgiem,
I trupów stem zasiał na hańbę nam!

Na wstyd, że mu daliśmy tę pociechę,
Bezkarnie drzeć tysiąc dziewiczych łon,
Rabować lud — bezcześcić jego bogi —
I straszny srom do domów naszych wnieść.

Na wstyd nam! — bo lepiej nie trzeba było
Zaczynać, gdy w piersiach nie gościł duch!
A kiedy już krwią naszą skropił miasto —
Tysiączny nóż było weń topić wraz.

Męczeństwa nam nie trzeba — ach! nie trzeba —
Krwi — ale krwi na placach bojów nam!
I krew tę pić, i ciało wroga dłońmi,
Gdy broni brak, poszarpać na żer psom.

Wstyd tobie, wstyd ojczyzno, i sromota,
Że do dziś dnia ochydny dźwigasz więz;

Że do dziś dnia po kwietnich niwach twoich
Harcuje wróg — i naigrawa ci!

Ty — co tak wraz (chcąc zyskać niezależność,
Nie bacząc, że miała być ceną łez —
Niewinnej krwi, jarzmionych przez cię ludów),
Poszłaś nad Ebr' wspierać despoty cel,

Ty — co chcąc dnia — wolności dla siebie,
Nieszczęsny lud — Hiszpanów dzielny lud,
Pożarów stem i szkarady bez miary
Chciałaś pod więz Napoleona zgiąć.

Ty dziś śród łez i mniszego poddania,
Śród jakichś nieb zbawienia szukać chcesz;
I wierzysz w cud tamtego Boga-cara,
Jakby to on nie był twych carów brat!

Ty dziś na Rzym, na tę Sodomę świata,
Patrzysz jak w tęcz — i w dzieci wszczepiasz swe
Że wiara ta, co tak każdego brudzi,
Ma zbawić ich i niepodległość dać!

Daremno mi powiadasz: niegotowy
Dziś jeszcze lud, by jarzmo wroga zgnieść!
Daremno mi wskazujesz w przyszłych latach
Nadziei świt i sama łudzisz się. —

Bo naród ten, co nie przysposobiony,
By wieków srom ze swoich zrzucić czół,
Nie wart się zwać narodem — nigdy nie wart
Swobodnym być, ni szczęścia widzieć dzień!

Mieczy wam brak? — Więc iść i wydrzeć Moskwie! —
Młodzieży brak? — uzbroić kobiet rój —
I naprzód wraz, piorunem spaść na wroga,
I walczyć — aż złamany padnie pęt.

Lub gdy już sił w tym boju wam nie stanie,
Przypomnieć trza, że stokroć lepsza śmierć,
Niż podły więz — i w Margierowe ślady
Zginąć już raz — a nie dać hańbić się!

Lecz nie — ach! nie — marzenie to — nic więcej,
Wam mnichów rój tak zbrudził męzką pierś,
Że prawie już niedola i niewola
Lżejszą się wam wydaje — mniejszy ból!

Ach! gdybym mógł przekonać cię, ojczyzno,
Iż wszystkich mąk i wszystkich źródło hańb,
Co na nasz ród od wieków biją gromem,
W przeklętej tej religji rzymskiej są —

Gdybyś zamiast święconej mnichów wody,
Zachciała krwi — i z szabel kując krzyż,
Uczciła w nim, na miejscu Boga-cara.
Chrystusa znak, co za lud poległ swój. —

Gdybyś już raz tych matactw się wyrzekła,
Co pchają wciąż na bezdeń zbrodni mórz —
O matko ma! wtedy dzień twej wolności
Nie byłby tak dalekim jako dziś!

Spojrz w przeszłość swą! — Gdzie tylko klęska jaka,
Tam pewno Rzym i zastęp jego był;
Gdzie tylko śmierć groziła ci, ojczyzno,
Tam kościół wcześnie już kopał ci grób.

Warneńskich pól, rumianych od krwi naszej,
Zaświadczy szał, gdzie była podłość, brud —
Z pod Wiednia bój z Turczynem i Parkany,
Widoczne dziś w swych skutkach dla nas są!

Choć niby płaszcz ochydnej mnichów wiary
Osłaniał nas świętością Chrysta szat,
Lud nasz jak pies pod stopą panów jęczał,
Swobody raj dla szlachty tylko był!

Gdzie padnie wzrok w historji naszej księgę,
Tam wszędzie mnich i katolicyzm był;
U źródła zdrad, rozpusty i podłości,
Całunem swym oświaty skrywał blask!

Bóg Chrystus rzekł: iż wszyscy równi sobie!
Na cóż więc szych i na co Rzymy te? —
Namiestnik ów, co w złocie i purpurze,
Za ludów łzy i krwawy czoła pot

Kupionej, chce przewodzić ludom biednym,
Okradać ich i jeszcze większą noc
Swą wiarą w nich rozszerzać, aby nigdy
Z pół-ludzi tych — nie powstał siły mąż!

O matko ma! wierz mi, iż póki wiara
Przeklęta ta żyć będzie w łonie twym,
Dopóty noc niewoli się nie skończy,
Dopóty wróg będzie mordował nas!

Gdy nasza myśl zamiast się do ojczyzny
Odwrócić raz i w niej, w niej już tylko żyć —
Połową swą u Rzymu gdzieś zawiśnie,
I oszustw stek za prawdę będzie brać!

Ojczyzno, wstań! — Czyż nie wstyd tobie matko,
Tak w więzach gnić pod nogą wrogów twych,

Czyż miłe ci tak życie u łańcucha,
Że wolisz je nad pełną sławy śmierć?

Czyż ziemia ta, tak już przeklęta z dawna,
Że na niej wzrość nie może siły mąż —
I jarzmo zgnieść i pełną po wrąb czarą,
Czerwoną krew nędznego wroga pić!

Czyż w ludziach tych tak podłe serce bije,
I duch się tak o Rzymu zwalił próg,
Że wolą żyć pod knutem — w poniewierce,
Niż w ryku dział walecznych znaleźć śmierć?

Ojczyzno wstań! — zamiast tych mnichów zdradnych,
I świątyń ich — noś Boga w sercu swem,
A czcij go nie nikczemną pieśnią skargi,
I modłą, co nie przyda się na nic.

Lecz daj mu czcić morderczych rusznic grzmotem,
I trąbek dźwięk, co wezwą lud na bój —
Niech jemu pieśń zadzwoni w twych obszarach.
Pieśń: lepsza śmierć, niż hańba, pęt i knut!

Słuchajcie, ależ słuchajcie bracia moi —
Czy obcy grunt tak czoła zstalił wam.

Że bezczeci tej już nie czujecie wcale,
Jaka na lud zajęczych spływa sercc? —

Czyż ślina ta, którą wam Moskal rzuca
Z uśmiechem w twarz, nie pali wcale was? —
Czyż wstyd ten — wstyd i niewoli sromota,
Niezdolne już tchórzostwa w męztwo zgiąć? —

Czyż żaden z was nie zostawił w ojczyźnie
Matki, co w łzach pamiątkę syna czci? —
Czyż żaden z was ojca, kochanki, siostry
Nie ma tam, nie — żeście bez czuć i krwi? —

Patrzcie! — tam pól zielonych wiotka trawa
W tęskniący szum, gnie się nad mogił stem;
A w grobach tych wasi ojcowie, bracia
Z przekleństwem śpią, że serca brakło wam! —

Czyż w łonach już zamilkła święta mata,
Co smętno, łzą w wieczorów biegła głusz —
Gdy ojciec wam przy domowem ognisku
O Barze pieśń, lub o Kościuszce smuł? —

Czyż cicha pieśń tych borów nadwiślańskich,
I niebo to błękitne z naszych stron,
Już obce wam, że serce nie zatęskni,
Ujrzeć go raz — przed śmiercią ujrzeć raz —

I u nóg cnych, dziś tak męczonych rodzin,
Śród szczęścia łez, powitań uścisk brać,
I ojca grób — w uroczy polskich kwiatów
Ustroić wian, i nad nim dumać — śnić: —

Czyż nigdy wam — nawet w snach tu w obczyźnie,
Nie śniła się ojczysta ziemia tu?
Gdzie krew i ból — to chleb powszedni ludu,
Gdzie męka, srom — to cały życia strój! —

Czyż nigdy w was namiętna myśl powrotu
Nie drżała — nie? — czyż łzawy, smętny wzrok
Nie pobiegł tam — ku wschodniej stronie,
Gdzie rodzin i nieszczęsnej braci ród? —

Gdzie w borów głusz, w zielonej lip zasłonie,
Nad Wisły brzeg się chata bieli tam —
Cicha jak sen wasz — ta chata rodzinna,
I ludek ten, coby was witać chciał!

Ach, zbudźcie się! — ach zbudźcie! na ojczyznę,
Co w więzach śpi, ja klnę rodacy was!
Ach, zbudźcie się i idźcie tam do wschodu —
Idźcie tam paść, lub wolnych zyskać dzień!

Ja konam już — a straszna mi śmierć taka
Śród obcych stron — w obcej mogile spać —
I nigdy już nie ujrzeć tej ojczyzny,
Co piersią swą karmiła biedna mnie! —

I nigdy już na polach krwią zbroczonych,
Nad mogił rój nie dumać z pieśnią — nie! —
Ach! taka śmierć — to bezgraniczna męka —
To mieczy sto, co naraz toną w pierś!

Ja konam już! — słuchajcie — ja przebaczam
Wam moje łzy — przyszłości zdarte dni —
I jeźlim się wam naraził czasami,
I wy — i wy przebaczcie również mi!

A niech wam w pierś zaszczepi się me słowo,
Że niczem Bóg — niczem najwyższy blask
Wesela, gdy ojczyzna w mękach kona
Gdy drżącą dłoń o pomoc wznosi wam! —

Że zbawić ją i kochać zawsze trzeba,
A oddać jej całego życia strój,
I dla niej zrzec się i Boga i nieba —
Jeżeli są — o czem ja wątpię dziś!

Umieram już! — Ach! jeszcze jednej prośby
Odmówić mi wszak nie zechcecie — nie? —

Jest w Polsce tam — kobieta jedna łzawa,
W żałobny strój odziana — ach! tam jest! —

I dzień i noc spogląda ku tej ziemi,
Gdzie cały blask jej życia zgasł — gdzie syn! —
I łamie dłoń, i słowy żałosnemi
Daremno go przywołać do się chce!

Poznacie ją — bo z smętnych najsmętniejsza,
I wzrok jej jak gasnąca gwiazda lśni,
I lice jej jako Nioby lice — —
To matka ma! —
Ach! niechaj który z was

Powróci tam — i powie, że umarłem,
Lecz wierny jej — ojczyźnie wierny mej;
I że z mych ust ostatnie słowo było:
O Polsko! wstań — i podły kajdan skrusz! —

Powiedzcie jej, żem chociaż nie uczony,
Lecz moja pieśń od serca biegła tam —
I zawszem w niej czcił święte strony,
I zawszem czuł, co Polak winien czuć!

Ten ziemi okruch — porzućcie mi na oczy,
To ojca grób udzielił mi go sam;

Na wieczność on niech ciało me przytłoczy,
Lżej będzie spać pod trochą ziemi swej! —

I lutnię tę, co smętne siała tony,
Zawieście mi nad skromny, cichy grób;
Może też w nią uderzy wiatr — i w strony
Ojczyste pieśń ostatnią weźmie mą! — —

I pieśń skonała! — Z ostatnim jej echem
Lirnik strudzone przychylił powieki —
Twarz wypogodził spokoju uśmiechem,
I zasnął cicho — bez męki — na wieki!

* * *

W parę dni potem — na smętarza
Ustroni, grób się czerni świeży —
Otwarty — a w nim trumna leży;
Przy niej prócz księdza i grabarza,
Nie ma nikogo.

A w około,
Ponad żałobne to zacisze
Kilka cyprysów się kołysze,
Chyląc ku ziemi z wiatrem czoło,

I kilka dzikich róż — stokroci —
Do snu idące słońce złoci.

. . . . . .

. . . . . .

— — — Ksiądz uczcił grób za zmarłych modłą,
Pokropił — zrobił krzyża godło —
I nie ma więcej śród smętarza
Nic — prócz żałoby i grabarza;
A głos bijącej w trumny wieko
Ziemi — rozchodzi się daleko.

* * *

— — — Rok minął.
Aż raz w dzień niedzielny
Strażnik smętarny tamtą stroną
Idąc, napotkał pochyloną,
Klęczącą na tułaczym grobie,
Kobietę, we łzach i w żałobie!
Co załamawszy dłoń, milcząco,
W jasnym topiła wzrok przestworze —
Znać jakby modłę szląc gorącą,
Lub skargę tam — pod stopy boże.

Włos siwy, z twarzy widno bladej
Wszystkie przeżytych męczarń ślady,
I w wzroku, co tak smętno wzrusza,

Znać cała smętna — świeci dusza.
I długo postać ta nieznana
Klęczała pod cyprysów cieniem,
I długo drżała pierś westchnieniem,
I męką życia znać wezbrana.

Aż smętna twarz bardziej pobladła —
Ku ziemi schylił się wzrok łzawy —
I głowa ciężko na pierś spadła —
. . . . . .
. . . . . .

Dziś śród smętarza bujnej trawy
Dwie wychylają się mogiły,
Niby dwie siostry obok siebie. —
I znów nad smętne to zacisze
Ciemne cyprysy wiatr kołysze,
I kilka dzikich róż — stokroci —
Co lekko drżą w smętarnej głębie.
Do snu idące słońce złoci!

Bazylea, 1867.

TRZY ROCZNICE.

I.

(W KRAJU.)

Szli sobie pielgrzymi przez świata manowce,
Przez Polskę nieszczęsną i biedną —
To smętarz! mówili. — Oj prawda, wędrowce,
Bo Polska i smętarz, to jedno!

Ucichł bój za wolność krwawy,
Granie trąbek — wycie spiży —
Ofiar jęki — skrzyp szubienic —
A w ich miejscu z nieba ścienic
Księżyc srebrzy w polu sławy,
Krocie mogił — krocie krzyży.

I do koła cisza głucha.
Tylko w jasną mgłę odziany
Błądzi anioł nad grobami,
Blady — smętny — zapłakany —
Wzdycha zmarłych westchnieniami,
Tajemniczych pieśni słucha,
Ciche, rzewne mężnych skargi
W nieskalane bierze wargi,

I zanosi przed tron Boga —
Prośbę o zemstę na wroga!

A czy Bóg wysłucha?

I do koła cisza głucha.
Tylko serce, co czuć umie,
Grobowe żale rozumie,
Ciemne dla profanów ucha!
Bo mogiły tak spokojne,
Choć tyloma łez oblane,
W księżycowy promień strojne,
Sterczą blade, zadumane
Nad przeszłością, co się kryje
Taka blada w ich głębinie —
Co przemawia w każdym czynie
Że lud, chociaż senny — żyje —
Że ojczyzna nie zaginie!

Północ! —
Niebo się zachmurza —
Mgła zaległa pól obszary —
Z niej się powoli wynurza
Jakiś tłum. —
Ludzie czy mary?
Któż tam zgadnie — kto oznaczy?
Kiedy trupia w licach bladość,

I głębokiej cień rozpaczy
Zdjął z nich ludzki śmiech i radość,
Ludzkie myśli — czucia — słowa!

Jeźli mary — ha! grobowa
Czerń widziadeł z nad smętarzy
Niechaj czuwa — niechaj marzy —
Bo poranek wnet się zbliży! —

— — — Tłum się łączy z krociem krzyży
I pamiątek wieńce składa.
Potem na mogiłach siada
I patrzy w nieba przestwór blady —
Na ziemię, gdzie jeszcze krwi ślady!

Ha! to ludzie.
O tej porze
Cóż ich tu sprowadzać może? —
Starcy, niewiasty, męże i dzieci —
A wszyscy w stroju żałoby,
A w każdem oku łza świeci
I spada na ojczyste groby!

. . . . . .

. . . . . .

A stał tam pomiędzy niemi
Starzec, jak posąg nieruchomy.
Jak myśl rozpaczy ponury.

W spojrzeniu zamiast łez, gromy —
Na licu trosk i dumań chmury.

Do koła tłum stoi i czeka
Na słowa
Z ust posągu boleści — człowieka.
A niebo rozcienia
Bladość przedduiową;
A z mogił westchnienia
Płyną —!

— — Po chwili
Zbudził się z dumań starzec i rzekł do tłumu,
Wskazując na groby:
«Tak giną
Ci, co w niebo, a potem na ziemię patrzyli.
Co sercem kierowani, nie władzą rozumu,
Usnuli całun żałoby
Z ślepych namiętności płachty —
A dali go wpierw Moskalom,
Zamiast dla magnatów i szlachty!
— — — Dziś — winien być już koniec żalom!

«Trzecia to przypomnień noc —
Jak z nicości wstająca moc
Dała nam miecz w dłonie —
Topiąc go w moskiewskiem łonie.

A dzisiaj co? — nad krajem mgły —
A w sercach co? — — żałoba — łzy —
A w duszy cień i modłów rój!
O Boże! zmień ten krwawy znój!
Już nadszedł czas.
Byś słyszał nas!
Jedności ślub
Szczep nam śród łon. —
A Bóg —
Jak grób
Milczący,
Straszny jak skon —
Jak car się mszczący!

«Bracia! dziś wstecz
Poleciał świat!
Dziś wiarą — miecz —
Nadzieją — kat,
Miłością — bój
I krwawy znój!
Dziś polski lud,
To stal, nie krzyż —
Ufny nie w cud,
Lecz w proch i spiż!

«Znowu łata łez — niedoli —
Pod więzami naród dyszy,

I na nowo serce boli —
Bóg daleko — Bóg nie słyszy!

«Z Watykanu tylko płynie
Głos, w straszliwą pieśń pogrzebu:
Darmo się więc kłaniać niebu,
Co ma ginąć — niechaj ginie!

«Dość nam w Piśmie na wspomnieniu,
Że męczarnia win nie maże.
Bóg miał rzec: w pokoleniu
Czwartem — grzechy przodków skarzę!

«A powiedz, ludu — czem twe przodki byli? —
Psami panów swych zdradzieckich —
Czy Polacy w Polsce żyli? —
Byłyż dusze, prócz szlacheckich? —

«Czy kobieta-niewolnica
Mogła człeka począć z łona? —
Czy płodowi mogła z lica
Błyskać zorza spromieniona
W wszystkie szczytne życia drogi?
Cała ludzi-bogów siła? —
Nie! — Bo na to mieli pany
Turm ciemnice i batogi —

Bo dla kobiet hańba była,
A dla mężczyzn knut — kajdany!

«Za czyjeż więc mamy winy
Cierpieć w pokolenie czwarte? —
Za nikczemnej szlachty czyny? —
Za ich czoła z czci odarte? —
W nich niech Bóg gromami ciska,
Ich, satrapa rzymski karze! —
Rodzinnego my ogniska
Nigdy Moskwie nie sprzedali —
My nie znali Boga w carze,
Ani szczęścia śród Moskali!

. . . . . .

. . . . . .

«O ludu mój!
Masz w piersiach ból,
A tam — wróg twój
Śród złotych pól
Ziemi naszej, matki ubóstwianej,
Gospodarzy —
I marzy
Jak ci nam włożyć kajdany! —
A ty — ty lwie ukołysany
Wiarą w niebo — w szlachtę wiarą —
Zapominasz mękę starą —

Zapominasz w poniewierce,
Że ci wziąść chcą polskie serce.
A natomiast w pierś bez skazy
Włożyć cześć dla mnichów rzeszy,
I przekonać, że po stracie
Biednej Polski cię pocieszy.
Jakiś Bóg tam z nieba stanie —
Że w kropidle i ornacie
Żyje szczęścia szczyt bez granic!

«Ach! nie taką nasza wiara
Winna być! —*)
Uczcijmy Boga —
Ojca, co nas stworzył, ludzi,
Ale nie wolności wroga,
Co tam wściekły, rozperzony —
Piorunami w strach nas budzi,

*) Malujemy tu Boga Jehowę, co nam stworzywszy Filistynów, i jako wszystko wiedzący, znając czem będą, kazał ich bić i mordować bez litości. Malujemy tu Boga mnichów katolickich i ich głupie włożone w pismo św. uwagi, jak n. p. iż Chrystus miał powiedzieć: że nie przyszedł zakonu starego obalić, tylko go dopełnić. — Zaiste! śliczne dopełnienie; bo absolutne prawo Jehowy «ząb za ząb» zmienił na absolutne przebaczenie. Podobnych niedorzeczności i absurdów na każdym punkcie w piśmie św. krocie napotykamy, co jasno dowodzi, jak różnego charakteru ludzie pracowali w tej wielkiej fabryce katolickiej religji. Przyp. autora.

Mściwy, dumny, a bez serca,
Jak despota niewzruszony.
Własne twory w piekło ciska
I sam ludów swych morderca,
Krwawym mieczem ognia błyska.

«Wszystko wie! — więc wiedział przeci[ ],
Na co rzucił nas w przestworze!

Pocóż zatem dzisiaj gniecie,
Gdy wie, że człek być nie może
Innym? Tylko co w stworzeniu
Chwili dostał, to następnie
Rozwija się, rozprzestrzenia
W blasku cnoty — lub występnie!

«O zbudź się! patrz — tu krocie krzyży
I mogił tłumy! —
Wiatr po nich gra smętne dumy,
A z wnętrza jęk głuchy
Woła:
Kiedyż się dzień zbawienia zbliży?
Ludu polski, skrusz łańcuchy!
I zdejm od czoła
Tej papieskiej wiary znamię;
A weź w rękę miecz ogromny,

Co magnaty — króle łamie,
Co dzień stwarza wiekopomny!

«I cóż, że ci u łona
Krwawi rana niezgojona? —
I cóż, że ci wolne karki
Zgięło pod żelazem kata? —

«Patrz! ach patrz! — i orzeł szparki,
Co w dziedzinach nieb ulata,
Nieraz pochwycon jest w sidła!
A jednak — spytaj orła-brata,
Czy mu miniona wolność zbrzydła —
Czy zapomniał, że ma skrzydła? —
Spytaj, czy w więzienia cieśni
Ten król chmur swobody nie śni? —

«Oh! choć cisną wrogie pęta,
Choć rozdarta pierś krew leje,
Orzeł wolność swą pamięta,
Marzy zemstę — ma nadzieję! —

«Ludu! tyś orłów brat!
Dla ciebie cały świat
Był kiedyś otwarty!
Śród ludzkości dziejów karty
Tyś sztandarem męstwa stał! —

Choć śpiący i poddany pod panów nogą —
Oni przez ciebie szli zwycięztw drogą,
Przez ciebie przed nimi wróg drżał!
Pomyśl więc, czem dzisiaj będziesz,
Gdy sam na twój tron zasiędziesz,
Gdy wzrok błyskawicą,
A gromami dłoń —
Stalową przyłbicą
Gdy osłonisz skroń!

«Spojrz w przyszłość!
Szafot panów — biesiadniczą salą —
Spojrzysz? — pobladną króle — zdrajców twarz po blednie —
Zapragniesz? — wnet się trony i palace zwalą —
Zapragniesz? — zniknie ciemność i jasno jak we dnie —
Po ruinach przemocy strzeli promień słońca! —
A nad tem wszystkiem przyszłość cudna, a bez końca —
Zmartwychwstała ojczyzna! —

. . . . . .

Ludu mój! ja w piersiach czuję
Święty ogień — on przezemnie
Wyrazy te od ust snuje —
On dusz twoich targa ciemnie,
I godzinę zemsty marzy!

A więc ludu! wierz mej mowie!
Przy mogiłach stój na straży,
Jako zemsty aniołowie,
I czuwaj! —*)
Lecz niech na oko
Wróg myśli, że śpisz jak wprzódy!
Ukryj w piersi tam głęboko
Wszystkich potęg twoich cudy;
Niech go blask w oku — śmiech w licu —
Uśpi, i w posiadaniu zostawi.
A tylko nocą rocznic o księżycu
Będziemy się tu schodzić łzawi —
Dumać o zemście i przeszłość wspominać.

«Dziś wiara w Bogu, w sercach już nie gości
Od chwili, jak tysiączne ofiary
Stojąc pod świętym sztandarem wolności,
Skropiły krwią te obszary!

«Dziś tylko w siebie powinniśmy wierzyć —
Sami zagoić ranę co tak boli —
Albo też ginąć — bo lepiej nie żyć,
Niż w podłej jęczyć niewoli!

---

*) Powyższych parę wierszy wyjąłem jako przystosowanie z Juljusza Słowackiego. Przyp. autora.

«Jak rzucim wzrokiem do koła,
Tysiąc mogił swe blade czoła
Pokazuje z wysokiej trawy!
Oto są pamiątki sławy —
I nierozłączne z nią łzy i cierpienie!
Na tych więc grobach wznieśmy dłonie,
I przysięgnijmy na rycerzy cienie:
Iż nienawiść, co w sercach płonie
Dla wroga, nigdy się nie zmniejszy!
Że na znak dany każdy pospieszy
Pod sztandar wolności anioła!
Że krew rozlana, co zemsty woła,
Pomszczoną będzie — Że wiara
We własne siły nie zginie — i ciężkim zawodem,
Który przez usta moje ojczyzna wam znaczy,
Nie damy się zatrwożyć — wtedy niech część czaru
Pryśnie pod siłą ducha — będziemy narodem —
Za granicą tej ziemi nie będzie tułaczy!—»

. . . . . .

I długo mówił jeszcze,
Rosząc oko łzą,
Znów piorunem błyskając w przemiany.
A przyszłości przeczucia wieszcze
W tej błyskawicy lśnią!
Aż tłum przysiągł, że skruszy kajdany,
I pójdzie w mężnych ślady,

dy chwila zemsty się zbliży!

. . . . . .

A świadkiem przysięgi tej był księżyc blady,
Wiatr smętarny, co szumiał o drzew konary,
Anioł śmierci wzbity w błękitu obszary,
Krocie mogił — i krocie krzyży! —

II.

SZLACHECKA BIESIADA.

(ZA GRANICĄ.)

Ludzkość ich poda w postrach przyszłemu plemieniu,
Rzuconych bez pogrzebu na pastwę zgnilizny,
A matki dzieciom wskażą w setnem pokoleniu,
Zochydzone szkielety morderców ojczyzny!

Nowi Sicińscy. (Obłąkany.)

Po salonach lamp tysiące,
I ochocza grzmi kapela,
Jak za kraju szczęsnych dni!
Tłumy zbrojne — szalejące —
Na twarzach im śmiech wesela,
W oczach żądza życia lśni!

Inne znów w dominach kryją
Promieniące szczęściem lica —
Szalonych zachceń ruch;
Lecz tak samo serca biją,
Jedna wszystkim myśl przyświeca,
Bo u wszystkich jeden duch!

W kolo mężczyzn rój się miota,
Od orderów — srebra — złota —
W sto kielichów brzęka dłoń!
A kobiety? — Ha! te tkliwe —
Uśmiechnięte — pieszczotliwe —
W białym wianku każdej skroń.

Na licach im radość siada.
Nie dziw! Polska w grób upada —
Trza więc nad nim taniec zwieść;
Choćby stracić grosz ostatni,
Widzieć mękę — łzy — ból bratni
I niewieścią stracić cześć!

Toż hulają! — grzmią kapele —
Hej! szampana — wiele! wiele!
Bo by zapał w piersiach zgasł.
Kochajmy się! hurra! hurra!
Ci chcą walca — ci mazura —
Żyć! używać — póki czas!

Toż hulają! ha! szczęść Boże.
Kto ma chęci i kto może,
Na to życie, aby żyć.
Dziś tak pięknie, cicho w świecie —
Toż raz trzeba użyć przecie:
Tańczyć, stroić, śmiać się, pić!

Toż się śmieją, tańczą, piją,
Używają póki żyją,
Aż i w piersiach zaparł dech;
I spocone chłodząc czoła,
Legli szereg sof do koła —
Ustał chwilę wrzask i śmiech!

Niech odpoczną! — potem dalej
Żywo w taniec i kielichy —
Czas ucieka — drogi czas.
Hejże zdrowie — hej moskali!
Polski lud znów zasnął cichy,
Pod więzami zapał zgasł!

Niech odpoczną! — potem w progi
Domów swych sproszą z uśmiechem
Polski katów, co nie miar —
I szubienic skrzyp złowrogi,
Splącze się z balowem echem,
I okrzykiem: hurra car!

Wtem przez drzwi sali balowej
Lokaj wszedł — i temi słowy
Mówi — robiąc gościom skłon:
Jakiś zda się człek ubogi,
Chce koniecznie wejść w te progi,
A mówi, że z obcych stron! —
Jest śpiewakiem i ma lutnię,
A gra na niej tęskno — smutnie —
Lub wesoło — jak kto chce;
Byle wsparcie — dobre słowo,
A ubawi czerń balową,
Wspominając dawne dnie!

Chwilę cisza! — Potem harda
A hulacza tłuszcza woła:
Wprowadź! wprowadź go już raz —
Do biesiady trzeba barda,
By rozpędził chmury z czoła,
Rozweselił trochę nas!

I wszedł śpiewak. Smętny, blady —
W twarzy niby męczarń ślady —
W ciemnem oku błądzi łza —
I znów w przemian mu u lica
Jakaś groźna błyskawica
Nienawiści strasznej drga —
Chwilę — potem w lewo, w prawo

Śle pokłony — i znów łzawo
Na zebrany patrzy tłum! •

A tam wrzawa — zgiełk i szum!

Hej śpiewaku! rozchmurz czoło,
A daj jaką pieśń wesołą,
Aby w piersiach wrzała krew —
Rzucim kwiatów i pieniędzy,
Tylko rozchmurz czoło prędzej
I wesoły zacznij śpiew.
. . . . . .

Śpiewak rzucił wzrok do koła.
Świetne pany! — wraz zawoła —
Jedną tylko piosnkę mam;
Lecz obudzi radość snadnie,
I do serca wam przypadnie;
Więc gdy wola — to ją dam!

W sali naraz cisza głucha —
I tłum obległ w kół lirnika —
I spojrzeniem go przenika,
A czarownej pieśni słucha:

SZLACHECKI KRAKOWIAK.

Ha! już przecie lepiej w świecie
I weselej, niż my mieli
Parę latek wstecz;
Car bunt zdusił i przymusił
Podłe plemię paść na ziemię,
Pod katowski miecz!
Więc co żyje, hurra! hurra!
Do walczyka — do mazura!
Uformujem krocie par. —
Dziś z nas każdy szczęścia dopnie,
Będą łaski — kresty — stopnie —
Niech nam żyje ojciec car!

Precz żałoby — wspomnień groby —
Łzy i męki — ofiar jęki —
I ojczyzna — głupców broń!
Car nam kazał! — Po ukazu
My zdusili bunt od razu,
Przykładając tylko dłoń!
Więc co żyje, i t. d.

Młode plemię polską ziemię
Chciało zbawić — i postawić
W federacji silnej rząd;

My potężni, bo pieniężni,
Zapłacili i zdradzili
Zaślepionych buntów prąd!
Więc co żyje, i t. d.

Choć lud woła: że u czoła
Podłość — zdrada nam osiada —
Któż uwierzy słowom tym?
Car z nas kontent! — dość wesela,
Gdy w nim mamy przyjaciela!
Car! car z nami, a my — z nim!
Więc co żyje, i t. d.

Łask miljony i korony
Kniaziów — grafów nam się śmieją,
A on woła, wznosząc dłoń:
Ciężką pracę wam zapłacę,
Dostojeństwa się poleją
Na szlachecką waszą skroń!
Więc co żyje, hurra! hurra!
Do walczyka — do mazura!
Uformujem krocie par. —
Dziś z nas każdy szczęścia dopnie,
Będą łaski — kresty — stopnie —
Niech więc żyje ojciec car!

. . . . . .

. . . . . .

Jeszcze nie zgasł ton piosenki,
Lutni dźwięk z pod wprawnej ręki,
Jeszcze w słabe tony brzmiał —
A już huczy krzyk wesela:
Uczcić barda — przyjaciela —
Co tak nasze dzieje piał!

Uczcić! — Sto bukietów spada;
Strumień złota jak kaskada
U nóg piewcy pryska — drga —
Lecz on stoi niemy, blady —
Obrzydzenia w oczach ślady,
I pogardy strasznej skra!

«Ach! — wraz woła — Świetne pany!
Nie potrzeba mnie zapłaty,
Z dobrej woli pieję wam!
Weźcie kwiaty te — dukaty,
Bo kwiat, dukat, nie żądany —
Ja wam jeszcze piosnkę dam!»

I potoczył wrok na tłumy —
W oczach chwilkę błysk zadumy,
Potem czarną ściąga brew.
I w akordy ciche, drżące —
Słowa silnie i gorące,
Taki zaczął wspomnień śpiew:

JAK BYWAŁO.

Tam w Warszawie, na poddasze,
Garstka młodych się gromadzi,
Ostrząc kosy i pałasze,
O ojczyzny losach radzi.

I krzyknęła: Ej, narodzie!
Miłość kraju taka święta —
Zbudź się! zamarz o swobodzie!
Polska w pętach — skrusz jej pęta!

Tyś potężny orli synu —
Duch w twej piersi — to grom z nieba!
Hej do szabli! hej do czynu!
Z dzikim wrogiem skończyć trzeba!

Tak krzyknęła! —
Lud gotowy,
Od ust daje kęs ostatni,
I na ołtarz składa bratni
Grosz sieroty — starca — wdowy.

A spogląda w nieba ścienie —
Modląc pieśnią i krwią z łona:

Wszechmogący! daj zbawienie —
Bo ojczyzna nasza kona!
Tchnij nam w piersi siły — męstwa —
Daj hart szablom — a niezłomny
Potem, wielki dzień zwycięztwa,
I świt szczęścia wiekopomny!

My nie zadrżym na dział grzmoty! —
Krzyż twój będzie naszą tarczą —
Krzyż i oręż — te wystarczą
Na pomszczenie lat sromoty!

Tak się modlił lud! —
Wnet rosną
Złota stosy — czar nie stanie —
A on nuci pieśń radosną,
Bo przeczuwa zmartwychwstanie

Ej! w przyszłości niedalekiej
Pomści krzywd i obelg wieki —
Raz się już z tyranem zetrze,
A sztandarów krwawa płachta
Będzie hasłem za męczeństwo.
— — Lecz gdzież składki? —
Ha! przekleństwo!
Część ich wzięło świętopietrze,
A przegrała resztę szlachta!

Szlachto! pany! wy magnaty!
I ty książę z nad Sekwany!
Patrzcie! — kraj nasz krwią zbryzgany,
W pogrzebowe odzian szaty!
Przekleństwo wam w wszechświat szerzy
Z burz styczniowej jęcząc nocy:
Gdzie z ołtarzy grosz sierocy? —
Obiecana broń gdzie leży? —
Krwawą łzą was pyta z dawna,
Gdzie ma drzewo wolnych stawić? —
Gdzie ta zgraja mnichów sławna,
Co kropidłem chciała zbawić? —
Gdzie dyktator, co swej wiarze
Przyrzekł dzielić znój i blizny —
Co zaprzysiągł przy sztandarze,
Że nie zgubi swej ojczyzny?

Patrzcie! dzisiaj krwawe lice
Polska wam w nagrodę daje,
I tysiączne szubienice,
I czerwonej krwi ruczaje! —

Oto zdrajcy, wasze czyny!
Ale drżyjcie! — wkrótce może
Przyjdzie dla nas zemsty zorze,
I kat z stryczka da wawrzyny!

Tutaj widzę Baltazara*),
Uczta ciało wam owładła! —
Drżyjcie jednak, żeby czara
Niedopita, z rąk nie padła
Na straszliwej pomsty słowo! —
Drżyjcie, żeby w czerń balową
Nie uderzył grom z błękitu,
Za sprzedany kraj wrogowi!

Ha! wy dziś u szczęścia szczytu,
I do nowych zdrad gotowi? —
Ale biada! bo choć wiary
Głos dał zbrodniom przebaczenie,
Przyjdzie dzień straszliwej kary,
Będzie szafot — krwi strumienie. —
I te mitry, co dziś władną,
Co shańbione zdobią skronie,
U szubienic kiedyś spadną
Pod ohydne kata dłonie! —
Biada! mówię — stokroć biada!
Za sprzedany ruch styczniowy
Znajdziem na was miecz i karę. —
A ten, co gromami włada,
Nakreśli krwawemi słowy
Zdrajcom: Mane — Thekel — Fare! —

*) Przystosowana trawestacja z Kordjana Juljusza Słowackiego.

Szlachto polska, koniec pieśni!
Ha! wam gniew na licach płonie? —
Marny — próżny ten wasz gniew!
Lepiej tam — na carskiem łonie
Idźcie marzyć! — Lżej się prześni
Życia bieg śród zdrady sna —
Car zapłaci polską krew,
Bo tam, szlachto, ziemia twa! —

Petersburgskie przedpokoje —
Srogich katów krwawa dłoń —
Szambelańskie gwiazdy, stroje —
Owinięta w hańbę skroń —
To z was każdy tylko marzy,
Lub jak carom wdzięczność dać! —
Wiernym, czujnym psem na straży
Zagrabionych ziemic stać! —

Ha! któż to wie? — Jutro może
Pod zabójców oddam noże
Życie za ten wspomnień śpiew. —
Lecz słuchajcie, carskie sługi:
Po mnie przyjdzie śpiewak drugi
Rzuci wam niewinną krew,
I tak dalej w długie lata,
Aż powstanie lud gotowy,
I korony zdarłszy z głowy.

Spoliczkuje dłonią kata.
Aż zbrudzona krew wycieczе
Z serc moskiewskich w waszym rodzie —
Ciała zdepcze i powlecze
Lud — przy zwycięztw swych pochodzie!

Szlachto polska — pieśń skończona!

I pieśń w cichy akord kona — —

A śpiewak potoczył wzrokiem,
Kopnął nogą złota stosy,
I poważnym wyszedł krokiem.

Za nim lecą przekleństw głosy.
Potem naraz cisza głucha —
Zda się tłum czerni halowej
Jeszcze straszniej pieśni słucha —
Jeszcze blednie pod jej słowy.

I tak w ciszy sala stała —
Tylko westchnień tłum u piersi,
Lub gdzie twarz, tam trwogą drgnie!

Czyżby piosnka skutkowała? —
Czyżby byli lepsi — szczersi —
Jak przed chwilą? —

Oj! nie — nie! —
Oniemieli — bo im czoła
Zsępił młody zapaleniec,
Lecz znów stają w krocie par —
I na licach znów rumieniec,
A z ust leci pieśń wesoła:
«Hurra! hurra! ojciec car!» —

Wawel, 1865.

III.

(W PARYSKICH PODDASZACH.)

Mnichy! znacież boży cud,
By oddalić mękę — głód? —
Macie balsam, aby bliznę
Zgoić, lub jej ból ukrócić! —
Czy możecie nam powrócić
Tę straconą — tę ojczyznę? —
Ha! wy wskazujecie dnie
U Bożego tronu tam? —
Lecz te nam nie wrócą — nie,
Utraconej Polski nam!
Smętne dzieje. (Obłąkany.)

Daleko na zachodzie — nad brzegiem Sekwany,
W stolicy świata, jest jedno poddasze —

Tam przenieśmy myśli nasze,
Bo tam tłum braci zebrany.

Na słomie — na gołej ziemi
Kilkudziesięciu leży, opuściwszy dłonie,
I spojrzeniami tęsknemi
Gdzieś wysoko w obcego nieba błękit tonie.

Znikąd łaski, ni nadziei —
Współczucia łzy —
Ni chleba. —
W strasznej tułaczego życia kolei,
Czarnej przyszłości mgły,
I czarna noc.
A boża moc
Tam z nieba? —
Ha! ta nie dla nędzarzy!

Wpierw im zamożność rzuciła kęs chleba,
Litość wyznaczyła schronienie,
Wiara — nadzieję — że z nieba
Może nadejdzie zbawienie.
To i ufali nieszczęśliwi,
Bo każdy się nadzieją żywi,
Aż gdy ostatni kęs do ust włożyli
Wybladli —

Wiarę, nadzieję stracili,
I mimowoli na duchu upadli.

Wszystkim im bladość bije z twarzy.
To boleść takie znaczy piętna —
Bo brak tułaczom ojczyzny.
Nie dziw, że w piersi niezgojone blizny,
Nie dziw, że twarz blada i smętna,
— — Odbicie zwątlonego ducha.

Z oddali wiatr zimowy niesie im do ucha
Głos jakiejś hucznej biesiady,
Może to tych, co sprawili męczeństwo,
A dzisiaj hulają na grobie —
I mrozi im łez na licach ślady.
Szumi szalenie — pogrzebowo — smętno —
W oczach szczepi nienawiści piętno,
A w usta kładzie przekleństwo,
Za biedną matkę, ojczyznę w żałobie!

A głód przepala i trawi
Wnętrzności bólem nędzarzom.
A gdzie Wszechmocny, co zbawi
I śmiech powróci ich twarzom? —
Gdzie padły jęki rozpaczy,
Gdzie łzy boleści tych nieszczęścia dzieci? —

Czyż łzawa modlitwa tułaczy
Nigdy w błękit nie doleci? —

Nie! tylko w snach migają pola strojne w kłosy
I Wisła — i kochana za borami chata —
Kiedy się Boga wzywa marnie!

Ej, bogacze! czy wy znacie
Te boleści — te męczarnie —
Gdy, w straszliwej nędzy szacie,
Głód pod tułaczy strzechę wchodzi? —
Wiecież wy, jak wiatr zimowy zawodzi
W szalonym tonie pieśni pogrzebu? —
I te spojrzenia błagalne ku niebu,
Prośbę o litość do ludzi? —
Znacież ten ton straszny, z którego budzi
Tylko śmierć? —
O! nie — nie!
Wam płomieniem niecnych truć,
Tego życia świecą dnie;
Bo wy nie umiecie czuć,
Jak tylko w roskoszy śnie!

. . . . . .

. . . . . .

Na niebie jasny poranek świta,
Z bladej mgły wstając pościeli,
Sypiąc szarf ślepiących krocie,
I promieniami ją dzieli.
Aż jeden z nich w szafirach i złocie
Wybrylantował się na małem okienku poddasza.
Lecz co żywo dalej bieży,
W tęż samą chwilę. —

I cóż go tak przestrasza? —
Czy kilka trupów, co tam leży? —
Czy wiatr, co żałobnie jęczy
Po wiary i nadziei mogile?
Co przykryła tak wcześnie bujny kwiat młodzieńczy?

Ha! nie wiem. Lecz potem niedługo
Ten sam promień oświecił scenę drugą,
I znów pobladły ucieka. —

Bo ponad brzegiem Sekwany
Stał Francuzów tłum zebrany,
Patrząc na polskie trupy, co oddała rzeka.

Wawel, 1865.

ODPOWIEDŹ NA LIST.

Mam wracać? — ha! szaleństwo — gdzieżeście
słyszeli,
By umarli wracali w progi swojej chaty? —
Żyłem ja prawda z wami — ale to przed laty,
Potem śmierć — i już wszyscy — wszyscy zapo-
mnieli!
W obcej stronie mnie ziemią przyciśnięto twardą
A swoi — i choć cień mój widny jeszcze zdali,
To błocą go i kryją jak można pogardą;
Znać się boją, by zmarli znów nie zmartwych-
wstali!
Mam wracać? — Czyż upiorów nie dość między
wami?
By tam jeszcze zawitał do nich i mój blady,
I wasze rozespane dzieci straszył snami
O ojczyznie i wiódł je w zapomnienia ślady? —
Ah! na co jeden więcej strach i pieśń na wroga,
Gdy wy senni i czynu z pieśni wziąść nie zdolni!
Na co w wasze trój-boże mego wwodzić Boga! —
Jam tu w wolnej w mogile — wy — pod knutem
wolni!
Wam dobrze! plują w lica, lecz zcierają złotem
Ślad śliny — i znów czoło nową hańbę może

Przyjąć — i znów je otrą i zwalają potem —
A wy szczęśliwi — znosząc ten wstyd w imię
boże! —
Mam wracać? — ha! jak widać, że w was nie ma
ducha? —
Wszak do dziś nie czujecie, że mój cień jest z wami,
Że każdej smętnej skargi tam nad Wisłą słucha,
Choć tak mało skarg ztamtąd! —

Nieraz — wieczorami —
Gdy drzwi chaty zaparłych pies domowy broni,
I wianek lip nad dachem wiedzie szept swój cichy,
Gdy wiatr gnie polnych kwiatów zroszone kie-
lichy,
I smętną pieśń niewoli o brzegi strzech dzwoni;
Gdy czasem w jakiej chacie polskie serce jeszcze
Bije gorąco — marząc dzień walk niepowrotny,
Ja stoję przy ognisku takiem i samotny,
Widokiem cichej trwogi o przeczuć sny wieszcze
Wpół szczęsny — nad schylonem ziemianina czołem
Błogosławię i słucham jak tam dziaduś stary
Dziatwie, co na wpół senna pokłęknęła kołem,
Opowiada rycerskie czyny naszej wiary!
Ah! słucham niewidzialny.

Gdy na matki łonie
Dziecina drobna z pieśnią o szabelce zaśnie,
A matka czuwa biedna i złożywszy dłonie,

Szle modły za pomyślność — jest tam gwiazda
blada,
Gwiazda przyszłych nadziei, co nigdy nie gaśnie,
I promieniem na lice niemowlęcia spada.
Jam tuż obok tej gwiazdy. W potrzaskaną lutnię
Wiatr przeznaczeń uderza i na ducha ciszę
Pieśń się składa w mgłę bladą i wygląda smutnie,
Bo lutnia potrzaskana — to i pieśń kołysze,
Jakaś smętność przeczucia — purpura krwi może?
Wtedy matka odgadnie, że grom niedaleki,
I cicha — wznosi łzawe do nieba powieki,
Ale rzec nie śmie: stań się twoja wola, Boże!
— — Ja tam jestem! ach wszędzie! i to moja męka
Że patrzę — i tak mało widzę serc — tak mało —
I patrzę, a myśl trwoży się i dusza lęka.
A mówi sama sobie: w nich nic nie zostało!

Nawet w okół rodzinnej wciąż się błąkam chaty,
Widzę sam — właśnie północ odbija godzina,
Matka siwa — staruszka — ma żałobne szaty,
W ręku książkę modlitwy — modli się za syna!
Przed nią mały krucyfiks — z Chrystusem ze
spiżu:
Ona nań wznosi oko ciemne łzą, co, co dnia
Płynie i patrzy, myśląc że w nim dusz pochodnia,
Że dwie dusze się mogą złączyć w jednym krzyżu!
Ona wierzy, szczęśliwa. — Cały to skarb wdowy —

Nie wydzierać! — Lecz smętno, smętno, gdy tam
patrzę,
Bo wiara pryśnie chyżo — i znów piorun nowy
Weźmie ostatek, nawet i wspomnienie zatrze!

Ja jestem zatem z wami — lecz wrócić tam ciałem,
Wyjąć je tu z mogiły — w wasze przenieść niwy?
Ah kiedyś! lecz to dawno — o! ja chęć tę miałem,
I dla tegom tak upadł — dla tegom nieżywy! —
Więc żyjecie szczęsni w ciemni więzów i katuszy?
Błądzę tam duchem, chociaż ciało w grobie gnije,
Ale wy! ach, w was nawet nie ma znaku duszy —
A serce? — ono tylko w takt niewoli bije.
Więc żegnam; choć tam u was lśnię nad chat strze-
chami —
Bez duszy, nie czujecie ni mnie, ni mej lutni.
Nie wrócę, bom zmieniony strasznie życia snami,
A w piersiach coraz ciężej — i łzawiej — i smutniej.
— — Gdy godzina nadejdzie i dzień jasny błyśnie,
Może wstaną umarli, lecz nie ja i nie wy —
Inni zbiorą przez innych rzucone zasiewy,
A nasze życie — męka — w nicość się rozpryśnie!

* * * Listopad.

URYWKI Z LISTÓW.

I.

Gdyby obcemu listy moje w dłonie
Wpadły, pewnieby osądził mnie z góry
Jak prawdziwego wyrodka natury,
Z kawałkiem skały miasto serca w łonie.
I rzekłby pełen zgrozy: Czy być może,
Aby syn matce własnej w każdem słowie
Tak bez sumienia topił w piersiach noże,
A dobrowolnie niszczył i truł zdrowie! —
Tak by zawołał obcy bez wątpienia.

Ha! bo nikt nie wie, że my (choć z oddali),
Tak zgodne mamy dusze i marzenia,
Jakbyśmy skuci koło siebie stali.
Bo nikt tam nie wie, że nic tak nie spoi
Silnie dwóch istot, które los rozpędza,
Nic tak nie zbliża do nieba podwoi,
Jako sieroctwo — związek krwi — i nędza.
Bo i my także mamy niebo nasze;
Niebo — gdzie boleść myślą przerzucona
Jest z twego w moje - w twoje z mego łona,
Niebo — gdzie łzami napojone czasze,

Niby goryczy pełen kielich Chrysta,
Błądzą od serca w serce — i do duszy.
Niebo — gdzie wiara i miłość ognista
Słodzi gorycze i przeciwność kruszy.
Ludzie nie wiedzą, żem ja przyrzekł tobie,
Czyli to w smutku, lub w szczęśliwej dobie,
Czy mi trza w życiu naprzód lub wstecz bieżyć,
Każdą myśl — każde wrażenie powierzyć.
Nie wiedzą, że mi udzielasz wzajemnie
Snów każdej chwili, straszne są czy święte;
Że każde słowo idące odemnie,
Bierzesz jak Chrysta słowo z krzyża zdjęte.
I mękę każdą, co życie bezsili,
Co ku mogile przedwcześnie mnie chyli,
Ty czujesz w piersi — i ja w zamian twoje
Wszystkie boleści czuję i łez zdroje.
Ludzie nie wiedzą! — Lecz cóż im to znaczy?
Cóż wyrok? — Czy mnie wzniesie lub poniży?
Kiedy nie zdolni ująć nam rozpaczy,
Ni zmniejszyć ciężar gniotących nas krzyży!
Myśmy od śmierci ojca zawsze sami —
I nawet w Polsce nie było inaczej. —
A więc jak dawniej — dzielmy się sieroty
O każdej dobie weselem i łzami.

Nieraz wieczorem, gdy zejdę z roboty,
A wieczór cichy jest — powietrze czyste,

I ponademną niebiosa przejrzyste
Ciemno-błękitny namiot gdy roztoczą,
Lubię się wtedy marzeniom oddawać,
Przejęty wdziękiem i szatą uroczą
Natury — dumać i śnić, zastanawiać.
Do koła wzrokiem jak sięgnę — dębowe
Bory strzelają czołem na błękity,
Do koła pola, gdzie się w plon obfity
Mięszają ziela albo habry płowe;
A nad chwiejącą się ich falą jasną
Szary skowronek, pod firmament wzbity,
Wynuca pieśni wpół smętne w obszary.
Pieśni te cichną zwolna — słabną — gasną —
Niby szalone o swobodzie mary,
Niby czarowne, lecz fikcyjne pieśni,
Niezdolne zburzyć, co z skały ukute,
Niezdolne podjąć nic więcej nad nutę,
Co z łona wstała — ginie w jego cieśni. —
— — A dalej łąką bystra szumi rzeka,
Strojna w brzóz łzawych szereg jako Wisła;
I tuż gromada żurawi zawisła,
Gotowa w drogę — tylko na wiatr czeka.
Ha! któż wie? — może i oni nadziei
Pełni, że wrócą do swej ziemi drogiej,
W nieprzewidzianej burzy i zawiei,
Legną w tęsknocie za swoimi progi.
I zasępiona okolica z wiosną,

Wieczorem w krocie perel się zalzawi,
I bór zatęskni sobie za radosną
Pieśnią — i długim szeregiem żurawi!

Gdy się zadumam — to tam o was marzę —
Gdy wzrok podniosę — niby swoje twarze
Widzę — tak każde lice tutaj zda się
Jakby z Mazowsza szczere i otwarte,
I w chrześciańskiej cnoty zdobne szacie,
I serce — jakbym wyjął z biblji kartę.
Wszystko jak u nas — tylko że złudzenie
Nie potrwa długo, a już pierś tułaczą
Tłoczy powietrza wczora cudne tchnienie.
I nawet brzozy, co nad rzeką płaczą,
Choć swoim szmerem do naszych podobne,
Znowu się zdają wrogie i żałobne.
I tak godziny nawet człek nie może
Odetchnąć myślą swobodną i stałą.

. . . . . .

. . . . . .

(Reszty nie ma.)

Kiedy na niebie taki wieczór letni,
kiedy na ziemi niwa się tak kwietni —
Ja nieraz w myśli porównywam sobie
Wiarę Chrystusa i tę drugą wiarę,
Która w przesądy owinięta stare,

Gubi ojczyznę. I uwagi robię,
I dwie te wiary dość zgodne na oko
Niby rodzone jednej matki córy,
A oddzielone przepaścią głęboką —
Dwie te religje — księży i natury —
Gdy zgłębiam, nigdy duch się nie zatrwoży —
Myśl nie zabłąka — lecz prosto i jasno
Sądzę je czucia mego wiarą własną,
I zawsze widzę gdzie fałsz — gdzie duch boży!
I wiem, co gubi — co nas mimo krzyża,
Wspólnego tym dwom wiarom, w przepaść spycha.
Wiem co więz ściesnia, co wolność przybliża —
Gdzie jest prawdziwa cnota, a gdzie pycha.
I jużem w sobie ustalił pojęcie
Wiary, dla której nawet w życia końcu
Wszystko wykonam, com zaprzysiągł święcie!
Wiarę, ku której, jako kwiat ku słońcu,
Zwróciwszy lice, rzeknę do narodu:
Oto zbawienia droga Polsko tobie —
Do twojej woli żyć — lub marnieć w grobie!

Lecz dziś ni czas, ni miejsce na rozprawy
Podobne, bo dziś wspomnienia godzina,
Dziś urodzona w Nazareth dziecina
Wzrosłszy na męża, wzniosła krzyż swój krwawy,
Co jeszcze przetrwa stu wieków męczarnie,
Nim całą ludzkość do siebie zagarnie!

Jam chrześcianin — nie znam co to Rzymy —
Zgraja obłudą i podstępem strojna —
Nie wiem, co szaty te — kadzideł dymy —
I twarz potrójna — ciemna słów zawiłość —
Bo moja dusza czysta i spokojna,
Zna tylko Stwórcę i bliźniego miłość!

Jednak — ta wiara śpiącego narodu
Mego, tak zgodna z myślą jego ciemną,
Ta fantastyczna, którą już od młodu
Czułem, jak w widmach snu lśniła nademną;
Wiara ta cudów — błyskawic — genjuszy,
Co nie pozwala żyć ojczyźnie mojej,
Tak w czarodziejskiej szacie dzisiaj stoi
Przed wzrokiem ciała i przed wzrokiem duszy,
Iż choć wiem, jakie nieszczęścia przywiodła,
Jak poniżyła w nas bożego ducha —
Wiara ta, strojna w fantastyczne godła,
Wabi znów w jarzmo — do mąk i łańcucha —
I prawie szepczą mi w głos jakieś mary:
Iż czasem — czasem — żałuję tej wiary!
Żałuję? — może! — Któż przeniknąć zdoła
Ludzką naturę? — Moc nazwyczajenia
Tak nieraz całą istność naszą zmienia,
Takie nam myśli faluje u czoła,
Że gdy boleści miara się przebierze,
Gdy w drodze życia los raptem zatrzyma,

To mimo woli cisną się pacierze —
Wzrok szukający — czy tej wiary nie ma? —
. . . . . .
. . . . . .

(Reszta oddarta.)

Apolda, 25. grudnia.

II.

Pamiętam jeszcze, z lat młodych uroku,
Gdy życie lśniło jak raju kwiat złoty,
Pamiętam ciebie, gdyś z łzą dumy w oku
W cudne pierścienie wiła włos mój złoty;
Gdyś, tuląc dziecię do piersi z roskoszą,
Jasno-błękitne śniła przepowiednie.

Ach! któż mógł wtedy odgadnąć, że mary
W jednym dniu gromów w nicość się rozproszą;
Że cała przyszłość w jednej chwili zbłodnie;
Że miast' miłości, nadziei i wiary,
Co miały w życiu dziecka bieżyć przodem,
Zły genjusz czarnem skrzydłem go owinie,
I krew gorącą zmrozi błędów lodem? —
Któż mógł przewidzieć, że tak chyżo zginie
Zasiane przez cię uczuć i cnót ziarno? —
Że miasto piersi, przepaść jakaś głucha

Bez serca — myśli — uczucia i ducha!
Któż mógł przewidzieć, że pójdzie tak marno
Wszystko szlachetne, coś zażegla w łonie? —
Ach! gdy pomyślę, czem ja mogłem zostać.
Gdy gwiazda wspomnień czasem mi zaplonie,
I przyszłość weźmie utraconą postać
Cnoty — śród roju uroków i marzeń!
Gdy mi zabłyśnie cały szereg wrażeń
I snów dziecinnych — ach! pierś się rozpęka
W czarnej, piekielnej, bez granic rozpaczy —
Ciało więdnieje i dusza się lęka:
Czy ty przebaczysz — czy ona przebaczy! —
. . . . . .

Pamiętam, kiedy w rówieników kole
Stałem raz, a N. N. ciebie się zapytał:
«Który z nas synem twym?» — rzekłaś jedyna:
«Ten, co ma gwiazdę genjuszu na czole!»

On jakby z czoła wszystko mi wyczytał.
Z czterdziestu innych wywiódł twego syna.
Ale milcząco — długo topił oczy
W twarz, co blond-włosą aureolą strojna,
Taka się zdała święta i spokojna —
A potem szepnął, niby w głos proroczy:
Bóg mu dał wszystko, co człowieka tworzy,
Jest duch i serce — myśl i krew — nie woda —

I — — — ale szkoda — szkoda —
Bo to zmarnieje wszystko na bezdroży.
. . . . . .

Tyś nie słyszała! Lecz ja, choć w tej dobie
Słowa te były mi nierozwiązalne,
Ja je w pamięci zachowałem sobie,
I dzisiaj czuję, że były — fatalne!
I widzę teraz, że jest na tym świecie
Każdemu droga wytknięta, po której
Życie się w bólach lub weselu plecie —
Droga, którą to potęga natury
Wiedzie człowieka jak na paskach dziecię:
Że choćby pragnął w inną bieżyć stronę,
Musi się zwracać, gdzie go przeznaczenia
Wyroki straszne i nieprzeniknione
Wiodą — że nie wie, czy u drogi końca
Czarną noc będzie wieczności zacienia,
Lub święty — jasny darzy promień słońca!

W grudniu, 1866.

III.

— — — dużo! bardzo dużo
Do powiedzenia mam tobie — tem bardziej,

Ze życie idzie coraz ciężej — twardziej —
I że mi znowu ból złe losy wróżą.
Że ja też nigdy szczęsnym być nie mogę? —
Dziwno! jaką bądź pragnę wybrać drogę
I po niej stale iść — to zawsze serce
Z duchem i myślą zostaje w rozterce;
I zawsze w marzeń najcudniejszych roje
Musi się zapleść boleść i cierpienie,
Jakby już każde tego życia tchnienie
Miało mi szeptać: oto szczęście twoje! —
Ciemność do koła. Próżno wzrok się łamie,
Chcąc zrzucić smutnej żałoby okrycie,
Próżno — u czoła to przeklęte znamię —
W samym zarodzie podkopane życie!

A źle mi, źle na świecie! Matko! matko moja!
Prawdziwem twe przeczucie — świętą rada twoja
Była, gdyś zaklinała, bym ojców zagrody
Nie rzucał i nie szukał w obczyźnie swobody!
O! bo milszą niedola, gdy ją w braci gronie
Dzielić można — i boleść nie tak straszna w łonie!
A razem modląc Boga o nadziei świty,
Mniej ciężkim kajdan życia — jaśniejsze błękity!
Tu mam wolność bez granic — bez cenzury słowa,
Myśli się mogą cudnie w wszechświecie rozpierać;
Wolno pracować jak kto chce, byle dłoń zdrowa,
I — wolno nawet z głodu na bruku umierać!

Każdy sobie -- dla siebie — i przez siebie żyje;
W każdym dla siebie tylko serce w piersi bije;
Bo wolność — a więc wolno śmiać się z drugich nędzy.
Masz za co? — Żyj jako chcesz. Mrzyj — gdy brak pieniędzy.
Bijesz drugiego? — wolno — tylko zapłać złotem —
Lubisz błoto? — Ha! przykryj się i cały błotem.
Byle tylko z pośrodka kału dukat błysnął —
Choćby ci kto na czole słowo «łotr» wycisnął.
Będziesz uczczony spiżem — marmurem lub rymem —
Mową pełną pochlebstwa — łzami — kadzidł dymem.
Bo wolność — więc jak kto chce, byleś umiał składnie
Uniknąć zwykłych zbrodni, za które kajdany;
Byleś był jako Judasz zdradny — jak lis szczwany,
Bądź pewnym, że ci cały naród do nóg padnie.

Mam wolność. Gdy w rozpaczy rzucam na wschód okiem,
Gdy śmiech — ten śmiech rozpaczy na ustach przybity —
Gdy pierś zda się, że pęka pod tchnieniem głębokiem —
I oko krwią nabiegłe patrzy na błękity.

A usta kłną je z sercem — wtedy tłum Szwajcarów,
Wolnego ludu rzesza patrzy na mnie trwożna,
I nie pojmuje, jak to kraj swój kochać można,
Jak można do ojczystych zatęsknić obszarów,
Gdy się ma za co do ust kąsek chleba włożyć,
I gdy choroba zgniecie — w szpitalu położyć.

Gdy raptem, w raźnem gronie, gdzie się radość
kłamie,
I śmiechem stroi lica, chociaż w piersiach jady
Trucizn — siłą wyłoni się męczarni znamię,
I łez przelanych wczoraj, zasinieją ślady!
Gdy śród hulaczej zgrai lice raptem zbladnie,
I cały ciężar wspomnień na duszę upadnie;
Wtedy — wolni Szwajcarzy pytają: co znaczy
Ta przemiana — co takiej powodem rozpaczy?
Kiedy knuty moskiewskie i szafoty zdala,
Kiedy pod stopą ziemia wolna i bogata? —

Ach! bo oni nie wiedzą, jak się pierś przepala,
Jak ciało nieraz tęskni do knuta i kata —
Do męki i niewoli — byle tam — na wschodzie —
Byle raz dojrzyć swojej twarzy — złotych łanów —
I płacząc siąść na ziemi krzyży i kurhanów —
I liczyć, ile jeszcze bije serc w narodzie!
Ach! oni nie pojmują! bo przerosły skrzydła
Kolonów, co żelazem wolność brać umieli.

Za długo ją tu mają — a więc zapomnieli
Wszystko — i już ta wolność — nieceniona —
zbrzydła.

Monachium.

(Reszty nie masz.)

IV.

Sześć lat już mija. Co wrażeń w tej dobie,
Smutku — wesela — rozpaczy i męki —
Jakie sny wieszcze i jakie piosenki —
Ile dni jasnych — a ile w żałobie —
Ha — któż policzy? — śmiać się już nie pora —
Żałować? — troska zawsze na czas bieży;
Konają dzisiaj ci, co żyli wczora.
Zresztą, czyż szczęście w śmiechu lub łzach leży?
Jam wiele w życiu śmiał się i radował,
Wiele łez w męce popłynęło żywej,
I wielem wspomnień z przeszłych czuć zachował —
A jednak — tylko raz byłem szczęśliwy!
Raz tylko! —
Pomnę jak dzisiaj — na dworze
Jesienny wiatr grał w starych lip szeregi,
I fale Wisły roztrącał o brzegi.
W niewielkim dworku, o późnym wieczorze,
Kobieta w czarnym stroju, z siwym włosem

Siedziała, szepcąc drżącym z wieku głosem
Wieczorne modły. Światło purpurowe
W na pół gasnącem migając ognisku,
Zdało się tulić w swym jasnym uścisku
Młodego dziecka złotowłosą głowę,
Co klęcząc u nóg matki, pochylony,
Topił w jej twarzy wzrok łzami przyćmiony!
— — Opodal wielki legawiec milcząco
Spoczywał, głowę przechyliwszy dumnie,
I swą źrenicą czarną i błyszczącą
Na cichą grupę spoglądał rozumnie.

(Reszty nie ma.)

V.

«Wróć do ojczyzny! wróć na moje łono —
«Czyliż koniecznie tułać się potrzeba
«I dobrowolnie truć życie pomału? —
«Rozwesel matkę smutkiem udręczoną;
«Śród zacnej braci nie braknie ci chleba,
«Śmiech szczęścia będzie i łza współudziału!
«Wróć pod swą strzechę! — nie długie dni moje,
«A tak bym rada wsparta o twe ramię,

«Zapomnieć wszystkie łzy i niepokoje,
«Chwilą wesela zatrzeć bólów znamię,
«Co głowę szronem przedwczesnej siwizny
«Pokryły — —
«Łzawa dusza cię zaklina:
«Zrzecz się tych marzeń i wróć do ojczyzny,
«I biednej matce wróć drogiego syna!
«Co wiosna krocie ptasząt tu nadbiega —
«Jaskółki z obcej do swej ciągną ziemi,
«Nucąc powrotu pieśń u Wisły brzegu —
«Lecz ciebie — ciebie nie ma między niemi!
«I próżno łzawy wzrok błądzi po niebie —
«Wracają do nas ptaki — lecz bez ciebie!

«Ach! życie takie — Boże! dodaj siły —
«Zostaw mi biednej choć nadziei blaski,
«Bym marząc promień twej najświętszej łaski,
«Spokojnie mogła giąć się do mogiły;
«I abym — kiedy pociecha jedyna
«Z błędną nadzieją w nicość się rozpryśnie —
«Mogła — nim ziemia na wieki przyciśnie,
«Jeszcze raz ujrzeć — choć cień mego syna! — »

* * *

Oto każdego twego listu brzmienie —

Ja wiem, że kochasz i że cierpisz, czuję!
Lecz — każdy człowiek ma swe przeznaczenie,
Nad każdym dobry lub zły duch panuje;
I gdy ostatni rzuci na bezdroże,
Nic wskazać drogi do szczęścia nie może!

Straszne to słowa — a jednak prawdziwe!
Cóż ja bym robił? — co? — pomiędzy wami?
Na co tam trupiej twarzy między żywe —
Nowy grób łączyć z dawnymi grobami? —
Nie, matko! trudno. — Ja bym w ziemi mojej
Był jako obcy co sam w świecie stoi.
I ludzie, oczy zwracając ciekawe
W lice przychodnia, zaraz był odgadli,
Że tam się w sercu gnieżdżą dzieje krwawe —
Że tam boleści nad słowa i miarę,
I uciekali by odemnie zbladli!
Jam zmienił życie, poglądy i wiarę —
Jam cały w lat tych paru zawierusze
Tak odwykł wasze uświęcać zwyczaje,
Tak odwykł duszą czuć jak wasze dusze,
Iż nawet nieraz siebie nie poznaję.
I łza wspomnienia gdy czasem zabłądzi,
To jej z dzisiejszą trudno się pogodzić.
Dziś mną nieszczęsny los dowolnie rządzi,
I trudno odwyc — dawnej przybrać twarzy —
Umrzeć by chyba trza — i znów się rodzić —

Lub mieć anioła z lat młodych na straży. —

. . . . . .

. . . . . .

(Reszty brakuje.)

Augsburg. Maj.

VI.

Dawno już, dawno by mogiła
W swem zimnem łonie mnie ukryła,
I obcej ziemi dzwon pogrzebu,
Żałośnie jęcząc o wieczorze,
Tam — ku naszemu płynął niebu,
I w twoje tęskne serce — może.
Dawno już, dawno, bym w rozpaczy
Broń samobójczą wsparł na łonie,
Gdyby nie jakaś dziwna wiara,
Że wzrok cię mój jeszcze zobaczy,
Że ciało w uścisk twój zatonie,
Że raz już nieszczęść pęknie czara.

Ach! bo ty nie wiesz, matko moja,
Jak gorzko życie tutaj płynie;
Jak w każdej chwili i godzinie
Pęka powoli życia zbroja;
I jak powoli, lecz statecznie

Marnieje życie — więdną kwiaty —
I sny, co miały błyszczeć wiecznie —
I białej gwiazdy srebrne szaty!

Jam miał ojczyźnie mej być sławą —
Jam miał ją pieśni cudnem brzmieniem
Wzmocnić na całą przyszłość krwawą —
Jam miał jej życiem żyć i tchnieniem —
W dniach ciężkiej próby ufność dwoić,
Nadzieją krasić młode twarze —
I w rozczulałych czuć pożarze
Na dalsze próby piersi zbroić.
Jam miał nad ciche nasze gniazda,
Nad złoto-włose pól obszary,
Lśnić narodowi jako gwiazda
Promieniem jasnej w przyszłość wiary. —
Jam miał pod krzyże-szubienice —
Na pola bojów — w krew — pożary —
Pieśnią wieść mężne nasze plemię,
Aby zbawiło swą ziemicę,
Aby zerwało kajdan brzemię!
Jam — — na co próżne przypomnienia? —
Na co złudzenia wskrzeszać kwiecie? —
Już moja gwiazda bez promienia —
Już nie mnie marzyć o tym świecie,
I wić nadziei splot zielony —
Biegać pod nieba myślą luźną —

Niestety — zawód mój skończony —
Wszystko już dawno — lub zapóźno!

A jednak — choć wiem, że tęsknota
I żal tu pomódz nic nie może —
Choć wiem, że gwiazda moja złota
Nie wróci — ani sławy zorze —
Choć wiem, że piętno męk u czoła
Nie zejdzie — blask nie wróci oku —
Jednak mi żal pieśni anioła,
Żal tego czarów mych uroku!

I żal mi — żal — ach! żal serdeczny:
Harf — jej — i tych stron Mazowsza,
Gdzie w borach tok i spokój wieczny,
Że pierś się czuje lżejsza — zdrowsza —
I Wisły, gdzie wiatr, gdy w pobrzeże,
Lub w śrebrne fale lecąc trąca,
Tak smętno jęczy, że się szczerze
Łza w oczy ciśnie i pierś drżąca
Pod biciem serca tako wzrusza —
Jak w zespolonych uczuć zdroju,
Smutku — wesela — łez — spokoju —
Chciała ją niby odbiedz dusza.

I pokoiku żal mi szczerze,
Gdzie, pochylona nad robotą,

Marzyłaś dla mnie przyszłość złotą —
Albo wieczorem, gdy pacierze
Dzwon karmelicki wieścił z dali —
Jam klęczał u nóg twych kochana,
I tak obojeśmy do Pana
Modłą gasnący dzień żegnali,

I w snach — a straszne mam i święte —
Błądzą tych wspomnień całe roje,
To przeminione szczęście moje,
Nie szanowane — nie pojęte —
I włos twój siwy — i twarz blada —
Wzrok łzą codzienną przytłumiony —
I wszystkich twych boleści tony.
O! męka taka jest bez miary,
A głos sumienia mówi: Biada —
Biada — — —
. . . . . .
. . . . . .

Biada! ach stokroć biada tobie!
Ty jako tułacz — żyd wiekowy —
Będziesz się błąkał bez ojczyzny,
I w obcej ziemi legniesz w grobie!

Znów z drugiej strony widzę w dali,
Jak się na niebie sto gwiazd pali —

I przez aniołów pułk niebiański
Podparty, w chmur obsłonie staje,
Po nad Golgoty szczyt — krzyż pański!
Z niego promieni lśnią ruczaje —
A u stóp postać jakaś blada
Klęczy i modli się w pokorze;
A płacze i w cierpieniu wzdycha,
To zrozpaczona ręce łamie,
I o coś modli w imię boże,
Patrząc na święte boże znamię.
To ty — a zgadnąć łatwo można,
O co się modli matka biedna!

Dla ciebie chwila życia zdrożna,
Co pierś w rozpaczy kryje cienie,
Nie istnie — ty przebaczasz jedna —
I — wierzysz w moje nawrócenie!
. . . . . .

Ach! dawno grzmot by już wystrzału
Był całą pieśnią mi przy zgonie,
I dawno by już w chwili szału —
Rozpaczy — ołów ugrzązł w łonie,
Gdyby nie wiara, że jedyna —
Święta ty moja, ujrzę ciebie —
I pozbawiona sześć lat syna,
Odżyjesz w jego uściśnieniu,

Że znów dzień błyśnie w twojem niebie,
I gwiazda szczęścia w twem istnieniu.

Odżyjesz przy mnie! —
Ach! największa
Nędza jest niczem, gdy ją życie
Dwóch istot pełnych cnót upiększa,
Niby aniołów na błękicie.
Gdy pierś do piersi — dłoń do dłoni —
Silniej lgnie w życia poniewierce —
Dwa serca — jako jedno serce —
W dwóch duszach jedna myśl się płoni!
Lecz ja — — ach! czyż mogę
Bez drżenia ścisnąć cię na łonie —
Wspólną dwom duszom wskazać drogę,
Gdy jedna z nich w niebiosach tonie,
Podczas gdy druga pokalana —
Brudna — już swem dotknięciem brudzi —
Na wieki w grobie pochowana —
Ani do Boga — ni do ludzi!

Ach! straszną — straszną jest ta męka!
Lód serce ścina, gdy pomyślę,
Jaka cię ma uścisnąć ręka —
Gdy całą przepaść zbadam ściśle,
Jaka na wieki nas tu dzieli. —

A jednak — ja cię ujrzeć muszę
I z twoją złączyć moją duszę.
Choćbyśmy razem zginąć mieli!
I muszę ścisnąć cię w objęciu!
Na grobie ojca — w noc kwietniową —
W noc rocznic — dla mnie straszną — świętą —
Co się przyśniła raz dziecięciu.
Waszych przebaczeń zyskać słowo —
Błogosławieństwa w czole piętno!

Bo jam nie winien jest tak wiele!
Ja chciałem takim zawsze zostać,
Jak gdym niemowlę tam — w kościele —
Chrześcijanina przyjął postać.
Jam czystem okiem w świat ten boży
Patrzał — i serce czyste moje
Było mi jako świateł zdroje
Na czarną noc życia bezdroży.
A cała tylko moja wina,
Całe starganie dni spokoju,
Cała boleści twej przyczyna —
Żem zamiast ręcznej pracy znoju,
Zapragnął wiedzy! —
Matko moja!
Prawda — zapóźno chęć ta we mnie
Nastała, by stłuc ducha ciemnie —
Lecz jak nie późno jest do Boga

Zwrócić się, kiedy w życia fali
Gwiazda omamień się przepali —
Tak również zawsze — zawsze pora,
Chcieć wiedzy, choćby w późnym wieku,
I lecząc duszę, kiedy chora,
Zbudzić człowieczą myśl w człowieku!

Jam dzisiaj w nędzy! —
Jam tak biedny,
Iż żebrak, co w noc składa głowę
Na zimne bruki marmurowe,
Co bosy — chory, w szacie jednej —
Wyciąga dłoń po litość świata —
Stokroć bogatszym jest niźli ja:
Bo choć go jeden, drugi mija,
Zawsze ktoś jednak wesprze brata.

Żebrać się wstydzę! Zresztą czyli
Jest ktoś, co wesprze słowem — radą?
Ha! ludzie pieniądz w puszkę kładą —
Pieniądz poleci tejże chwili,
A ciężkie życie pozostanie —
A bez nadziei, że się kiedy
Wydźwignąć z takiej strasznej biedy,
Że się żebrakiem być przestanie!
Bo cóż jam winien, że za młodu
Raz w śnie się anioł mi obwieścił,

I gwiazdę w czole mi umieścił,
I rzekł: Ty będziesz dla narodu
Czem ta promienna pieśni gwiazda!
I jako ona w noc bez zorzy,
Będziesz oświecał polskie gniazda,
By lud je znalazł na bezdroży.
By z mąk — szubienic — knutów cara,
Wyszedł zwycięzko siłą ducha,
I by w nim Chrysta wzrosła wiara:
«Czcij Stwórcę — kochaj bliźnich szczerze.»
Wiara bez fałszu — widm łańcucha —
Gdzie kościół — serce, czyn, pacierze!

I cóż ja winien, żem u czoła
Zatrzymał gwiazdę z rąk anioła? —

Zebrać się wstydzę —
Jednak Boże!
Gdybym ja wiedział, że w kim z ludzi
Mój stan choć skrę litości zbudzi,
Że się sen dziecka ziścić może,
Upadłbym do nóg tego człeka —
I jak przed Chrystem ów kaleka
Żebrałbym — zamiast uzdrowienia,
Książek i na rok jeden chleba,
Suchego tylko — byle tchnienia
Nie brakło w piersi — bym bez troski

Mógł chłonąć nauk nektar boski —
W niezmiernej wiedzy żyć przestworze!

Po roku — jużby lica blade
Rozgrzał genjusza promień z nieba,
I dałbym sobie w świecie radę:
Do celu doszedł mimo woli
Stryjów! — Lecz trudno — na to trzeba
Rok życia tylko z książek rojem.
Trudno — nie dla mnie lot sokoli —
Pogasły gwiazdy w niebie mojem.

Po roku pracy! — Boże! Boże!
To sen — a jednak ja go pieszczę
Ciągle w swej piersi — śnię, że może —
Może raz będę szczęsnym jeszcze.
Bo dziś te pisma — to zabija.
Bez nauk — w ciasnem błądzę kole,
I myśl, co błąka się po czole,
Duch, co się gwałtem w nieba wzbija,
Niezdolne płynąć są bez granic:
Wiedzy je brak na ziemię zwraca —
I czuję — pieśń ma dziś — to praca,
To czoła pot wylany na nic! —
Ja nie chcę więzić w piersi ducha!
Nie chcę go giąć pod formy rzeszy! —

(Część oddarta.)

— — Śliczne marzenie! —
Ach! tyś matka —
Ty zdolna uczuć moją mękę.
Ty — coś wspierała do ostatka,
Coś mi w nieszczęściu dała rękę —
Ty wiesz, jak straszno śród męczarni
Zawodu — marzeń zrzec się śnicia —
Zabyć — i gdy się życie zmarni,
Gdy młot sił zbawi — u mogiły —
Wyrzec goryczy pełne słowa:
«Ot, tak się życia dni prześniły —
«Wiaro! nadziejo! bywaj zdrowa!»

Czy widzisz, żem może tysiąckrotnie
Brał pieśni moje w dłoń i łzawy,
Chciał spalić — zniszczyć niepowrotnie
Całe znaczenie mojej sławy.
Wszystko, com w latach tych niewielu
Przeżył — przecierpiał w poniewierce,
Cały jad, co me zatruł serce,
I grom, co popchnął wstecz od celu —
Chciałem połamać lutnię złotą.
I na co ona, gdy do brzmienia
Brak jeszcze duszy wykształcenia? —
I na co ona, kiedy błoto
I — — co ciśnie piewcy czoło,
Nie da się tonom wzbić do góry,

Lecz je w — — słoniąc chmury,
Napowrót w ludzkie ciśnie koło!
Ja chciałem spalić moje pieśni —
Połamać lutnię — lecz w tej dobie
Gdym wznosił rękę, tem boleśniej
Odbrzmiała rozpacz w piersi grobie,
I żal pochwycił mnie serdeczny.
— Ha! myślę sobie, kto wie? — może
Po moim skonie ktoś tam z ludzi
Nad grobem śpiące pieśni zbudzi,
I ustrojone w nowe szaty — — —

Ha! otóż duma! — w takiej chwili? —
Jam biedny — tylko w nią bogaty;
Jej jednej wstydzić się nie mogę,
Ni chcę — bo z nią już jakoś milej
Człowiek przechodzi życia drogę! —
A potem, kiedy śmierć zawita,
Kiedy się zbliży dramy koniec,
I nędzarz wyrok swój przeczyta,
A czarny, smętny grobów goniec
Zajęczy w dziki głos smętarny —
Lżej się do snu źrenice schyli,
I do dna kielich się ofiarny
Spełni — i wytrwa mężniej! —

Oh! bo nadzieja pozostanie,
Że pośród zepsutego świata
Choć pieśni me nie znajdą kata,
Lecz czucie i pożałowanie.

Że gdy w ojczyznę smętne dźwięki
Dolecą z wrogiej, obcej ziemi —
Choć wtedy łzawe me piosenki
Znajdą uznanie w naszej ziemi.
Choć wtedy własnej braci noże
Przestaną tonąć w mojem łonie,
Co je niegodnie zwią zbrodniczem.
Choć wtedy wspomną sobie może
Ci bracia — choć po moim zgonie —
Żem ja im nie przewinił niczem!

. . . . . .

. . . . . .

Tak, matko moja! tak jedyna!
Dawno bym może, wiedzion szalem,
Potrzaskał sobie skroń wystrzałem,
I jużbyś, już płakała syna —
Gdyby nie dziwna jakaś wiara,
Że wzrok cię mój jeszcze zobaczy. —

. . . . . .

Ujrzę cię! ujrzę — potem dalej
W świat zimny, obcy, pójdę sobie —
Gdzie się zachodnie słońce pali,
I zamknę się w tym żywym grobie.

I wszystko minie — te niezłomne
Woli marzenia prysnąć muszą —
I zaprę się, żem zrodzon z duszą,
Żem pieśniarz kiedyś był — zapomnę!
Żem bujał chwilę na błękicie!
A wiodąc nędzne płazów życie
Z dnia na dzień, by uzyskać chleba,
Będę kuł, rąbał, gdy tak trzeba,
I klnę ci, iż zapomnę z wiekiem,
Żem chciał koniecznie być człowiekiem!

Eulingen.

LIST

DO

WIKTORA DE W. W.

ODPOWIEDŹ NA ROZMOWĘ W NOCY Z 27.

Wyobraźnia gdyby kwiaty,
Wielkie serce, choć półsenne,
I genjuszu świetne szaty —
I tam w duszy sny promienne,
Myśl, co przyszłą sławę zgadła —
Pierś, co wiecznie czuciem młoda —

Wszystko jest, ażeby słynąć! —
Ale szkoda — stokroć szkoda!
Bo już święta gwiazda zbladła —
Niech więc ginie, co ma ginąć!

Ha! odgadłem myśl twą bracie,
Gdym na krwawej prawdy słowo
Stał milcząco — marmurowo —
W ostalonej niby szacie.
I jak zwykle senny — blady —
Z gorzkim w drżących ustach śmiechem,
Na wpół starte wskrzeszał ślady
Uleciałych marzeń echem.
Gdym spokojnie, tak jak zawsze,
Ból bez miary odkrył tobie,

I we własnym grzebiąc grobie,
Opowiadał dni najkrwawsze —
Ach! odgadłem myśli twoje;
One były: «Jak on czarny,
«Jakichż wad ma w sercu roje:
«Nic nie dźwignie z brudów koła —
«Próżna praca i trud marny,
«On bez duszy — lub bez czoła!»

Ale potem, gdym powoli
Wnętrze łona odkrył tobie,
I pokazał, co tam boli,
W jakich dusza łzach — żałobie —
Gdy sam — męki własnej chciwy —
Darł od serca szmat po szmacie —
Pomyślałeś wtedy bracie:
«Ach! on tylko nieszczęśliwy!»
Prawda! ale cóż za rada,
By powrócić białość czoła? —
Możnaż wyrzec: ufność — wiara —
Kiedy Bóg sam mówi: «biada»,
Gdy brak młodych snów anioła,
Gdy spełniona życia czara?

Wierz mi, nigdy się nie żalę.
Ni na niego, ni na ludzi —

Nigdy w piersi się nie budzi
Złorzeczenie w bólów szale.
Zwiędły kwiaty w samym świcie
Wiosny, ledwo wpół rozwite —
Sny i czary — a to życie
Tak w kołysce już zabite,
Tak skalane przeciwnością,
Niby zgniłem tchnieniem wroga —
Że ni z ziemią — ni z wiecznością —
Ni do ludzi — ni do Boga!

Wzięto braci cześć i miłość,
Wzięto wiarę w nich i w siebie,
A cóż za to zostawiono? —
Oto w sercu brud i zgniłość,
Piorun męki na mem niebie,
Przyszłość - przyszłość nieskończoną!
Lecz cóż z tego? — Wszakże co dzień
Krew na niwie Chrysta płynie;
W każdym niemal dniu, godzinie,
Bratnią krew przelewa zbrodzień —
A mnie przecież krwi nie wzięto!
Nie godziła w życie ręka —
Nie stało się hańbie zadość —
I mam jeszcze przeszłość świętą;
Pozostała życia męka —
Rozpacz — ból — i lica bladość!

Więc bogatym skarga na co? —
Inni jeszcze więcej tracą!

Więc nie skarżyłbym się tobie,
Ani marzył wybawienia,
I umilkłbym, żyjąc w grobie
Zapomnienia — zatracenia —
I skrzywiłbym nawet twarzy
Do uśmiechu, gdy się śmieją —
I okłamał się nadzieją
I powierzył bożej straży,
I już cały w tej otchłani
Do nieznanej szedłbym mety —
Gdyby nie to, że niestety!
Bratobójczy nóż pierś rani!
Gdyby nie to, że mi swoi
Wzięli to, com czcił bez granic,
Czegom nie chciał oddać za nic —
Tam w piersiowej kryjąc zbroi.

Ha! myślałem — gdy już chcecie
Zabić — stargać życia kwiecie,
Gdy wam żal, że na ruinie
Polski mogła wzrosnąć trawa;
Że się w pieśni mej i w czynie
Mogła gromów odbić sława.
Gdy wam żal — i gdy pospołem

Przysięgliście zabić duszę,
I zawiesić kir nad czołem,
Więc myślałem: harfę skruszę,
Jak Tyrteja*) lutnia padła —
Poroztrącam mą na ćwierci,
Aż odjękną strun wiązadła,
Aż się głos ostatni zbudzi,
I choć może tam — po śmierci —
Znajdę, jeźli dusza żyje,
Pół-aniołów — a pół-ludzi,
Co usłyszą smętne granie —
I tam może dzwon odbije,
Gdy już nie tu zmartwychwstanie.
I patrzałem pełen męki,
Jako Niobe na ofiary,
Na gasnące me piosenki.
Jak Laokon Greków stary
Na śmierć synów w splocie węży,
Gdzie odwaga gasła dzielna!
I szeptałem w dniu rozpaczy:
Jeźli dusza nieśmiertelna,
To zwycięży — to zwycięży —
I mordercom swym przebaczy! —

---

*) Tyrteusz, sławny poeta spartański, posłany Atenom zagrożonym od Messeny, zamiast wodza. Cudną pieśń jego «Do broni» napisał po polsku Władysław A....

Tak myślałem.

I już zgodno
Do ich życzeń zgniotłem lutnię.
W łonie jakoś łzawo — smutnie —
Lecz na pozór cicho — chłodno —
Wyrzekłem się drogich pieśni.
Lecz to nie dość było braci!
Zmartwychwstajem z błędów pleśni —
Żal największe zbrodnie płaci,
Trzeba dobić. Lecz jak? kiedy?
I podają sobie ręce.
Znaleźć broń — nie wielkie biedy.
Czy tak trudno zabić w męce?
Więc szukają, gdzie najlepiej
Cios wymierzyć i ugodzić,
Gdzie trucizny jad się czepi,
Gdzie najlepiej można szkodzić.
Co on kocha — co szanuje —
Co czci więcej niźli Boga,
Jakie czucie w nim panuje,
Jaka życia nadal droga.

. . . . . .

A był jeden człek w tym zbiorze
Niby brat z Sodomy Lota,
Lecz ten próżno w imię boże
Klnie zaślepłych i nawraca:

Tu nie żyła polska cnota,
Ni duch polski — a więc praca
Już daremna. — Choć rzekł: Ludzie!
On wasz brat jak każdy inny!
Możnaż brata nurzać w brudzie?
I tak gnębić, gdy niewinny? —
Prawdę mówi — wszędzie woła:
Że hańbicie polskie imię,
Że w was przodków cnota drzymie,
Że nie macie serca — czoła —
Ha! być może — nie powinien
Mówić tak śród obcych ludzi;
Ale proszę — i cóż winien,
Że ust swych kłamstwem nie brudzi? —
I tak mówił.

Ale rzesza
«Zabić» wrzeszczy już nawalnie.
Niech łzy z dzienną strawą zmięsza,
Zabić — zabić — a moralnie!
I zabili! dzięki — dzięki!
Czara Chrysta już spełniona,
Jest trucizna w głębi łona,
Są żądane łzy i męki.

. . . . . .

I uciekłem po tej wrzawie.
Zgasło święte piersi tchnienie —

I szeptałem tylko łzawie:
Gdzież nadzieja — gdzie zbawienie? —
Niebo — martwe jak z kamienia.
Ludzie — ludzie mściwi — podli —
Nie ma u nich przebaczenia —
Obłąkany kto się modli!
Modłą — szabla, gdy grom błyśnie!
Prośbę wam o łaskę rzucę
Pieśnią, którą na świat nucę —
A pieśń prawdą was przyciśnie!
I pochyli w ziemię czoła,
I hulackie strzaska czasze;
Bo pieśń moja wam zawoła!
Że hańbicie imię wasze!
Gdzież sumienie? — gdzież to znamię,
Co ojczyzna w grób schylona,
Zawiesiła wam u łona?
Gdzież ta dłoń, co wroga złamie? —
Szabla, co ma błyskać w boju,
Głowa giąć się pod laury —
Lub gdy ciemni prysną chmury,
Radą krzepić kraj w pokoju? —
Gdzież wygnańców imię — mienie,
Co w półświętą szatę stroi? —
Gdzież ci, których wróg się boi,
Polska widzi swe zbawienie? —
Ach! tu gra rozpusta — szklanki —

Nawet zbrodnia i brud łona,
Bachanalja i kochanki —
Gdy ojczyzna w męce kona? —
Wy jej syny — i tak podle
Własnej matce drzecie serce,
I deptając po jej godle,
Tak plamicie ją morderce? —
Wy jej syny — ?
. . . . . .
. . . . . .

Daruj bracie, żem bez woli
Tak odbieżał od spowiedzi —
Lecz gdy serce raz zaboli,
Gdy już z troską tak się biedzi —
To nie panem pióra człowiek:
Dłoń nie pójdzie po rozkazie,
Ni obeschnie łza u powiek
W oka mgnieniu tak, na razie.
Ty wiesz, co za męka była!
Wiesz, jaką zadali bliznę,
Jak wydarto mi ojczyznę,
Co najświętsza w piersi żyła.

Jam pochylił cicho głowę
Pod tych ostrych noży gradem,

I chcąc życie zacząć nowe,
Nowym odtąd dążyć śladem,
Wyrzekłem się już mych wierszy —
Połamałem pióro — lutnię —
I od wielu dni, dziś pierwszy
Raz zagrałem na niej. —

Póki tylko mą pierś darli,
Póki tylko mnie męczono —
Mogłem żyć tak, jak umarli,
Których ziemią przywalono.
Póki pchano w piersi noże,
I duch marniał w poniewierce —
Rzekłem tylko: Chryste-Boże!
Wszak ty widzisz moje serce.
Rzekłem tylko: Niech twa wiara,
Ale czysta — bez szkarady —
Na ojczyste zwróci ślady,
I pod nogi nie da cara!
Lecz gdy szarpią święte myśli,
Co wolności są podstawą,
Pióro moje znowu kreśli,
Lecz gromami — już nie łzawo.
I przysiągłem sobie święcie,
Mimo przeszkód stać bez trwogi,
Choć sam jeden śród tej drogi,
Choćby walczyć i zacięcie! —

Ha! ja muszę. Bo od chwili
Na tutejsze gdym zebranie
Posłał bratnie powitanie

. . . . . .

Od tej chwili mówię tobie,
Boleść tłumił gniew, i słuszny
Na ten istot tłum bezduszny,
Jakby trupów w zimnym grobie.
I do ust się mimo woli
Cisną słowa w strasznym szale:
Że im lepiej tam w niewoli,
Bo oni już w pół Moskale.

. . . . . .

. . . . . .

Teraz wiesz, jak rzeczy stoją,
Co mej troski jest powodem —
Lecz się teraz już nie trwożę,
Bóm ja lirnik przed narodem —
A lirnicy się nie boją,
Gdy wskazują, gdzie bezdroże!
Żegnam! dziś już wiesz przyczynę,
Dla której upadłem w drodze!
Ale klnę, że prędzej zginę,
Niż zatrzymam myślom wodze —
Niż te czucia, co mną władną,
Zgasną w ciemni i w milczeniu.

Może raz obłędy spadną,
Mnisze bielma na spojrzeniu.
Może raz lud pozna przecie,
Że krzyż z szabel mu przystoi!
Że w ojczyźnie, co ją gniecie
Wróg — trza z broni szukać zbroi.
Że kropidło i święcona
Woda — mnichów tłum i szlachta —
To zużyta białych płachta,
Która brudzi polskie łona.
Oh! raz Polska poznać musi,
Że ofiary nie trza Abla —
Że nie wiara carów zdusi,
Ale stryk i dzielna szabla!

w * * *

WYJĄTEK Z LISTU

DO

MARCELEGO MIR . . . . . *)

I w tej to twierdzy czując, że już przecie
Lepiej się w gronie ludzi znaleźć mogę —

---

*) Mimo, iż list niniejszy zawiera wiele poglądów, szczególniej na francuską i niemiecką literaturę, zupełnie

I spojrzeć okiem pogodnem po świecie,
Śmiało na rozpraw rzuciłem się drogę.
I dziwno! choć byłem jak dziecko prawie.
Starzy słuchali dziecięcia łaskawie.

Długie a smętne godziny niewoli,
Zdobiąc we czterech w dźwięk rozpraw uroczy —
Zapomnieliśmy, że nas serce boli,
Że łzy u oka i męka pierś tłoczy —
Zapomnieliśmy, że od reszty świata
Dzieli nas łańcuch i żelazna krata.

Oh! bośmy mieli nasz świat w — —
Wzniosłej nauki i wzajemnej siły,
Świat, gdzie się człowiek geniuszem zowie,
I — — — — — — — — — —
Świat ten był w duchu, co z każdym wyrazem
Wybłyskał ogniem bystrości — potęgi —
Jakiego żadne nie opiszą księgi,
Ani nie streszczą wszyscy ludzie razem.
Tam były myśli, słowa bez cenzury —
My tam nie drżeli pod partji naciskiem,
Nie lękali się, by trzasł piorun z góry
I zgnębił naszą moc swoim połyskiem.

---

niezgodnych z naszymi, podajemy go jednak dla oryginalności, której cechę nosi na sobie. Przyp. wyd.

Myśmy nie drżeli, by tłum, ciemność, dzieci,
Przez rzymskie sługi fałszu znaczny hlizną.
Wahał się błędny w omamień zamieci,
Próżno chcąc wiarę pogodzić z ojczyzną.
Bo myśmy byli sami! — I powoli
Duch się umacniał na walkę ze światem,
I wzrok rozjaśniał się w aureoli
Nowej religji, gdzie człek człeku bratem —
Nowej — bez szychu i świecideł kroci,
Bez wrzasku, fałszu i strasznej ciemnoty —
Religji, gdzie się modła czynu złoci,
Gdzie wolno kwitną wolne boże cnoty!

Oni mówili — i piersi me młode
Stroili w pancerz na żywota boje,
Ucząc, jak trzeba pojmować swobodę,
I jaką pieśnią darzyć ludy swoje.

Żarliwiem chwytał każde niemal słowo,
Blysk oczów był mi niby księgą jasną —
Bom czuł, że tu żyć zaczynam na nowo,
I że te ognie przez wieki nie zgasną —
Że ci, co tak żyją — w więzach nie zaginą!

«Nędza cię czeka z początku! — mówili —
»Nędza okropna, śmiech wstydu i wzgarda! —

«Złamie się ciało — złamie dusza harda,
«Gdy gorzki zawód spotkasz każdej chwili,
«Gdy cię zagłuszy ciemnych tłumów wrzawa —
«Gdy sztylet może stłumi lutni granie! —»

A jam ich pytał: Ale zmartwychwstanie
Ojczyzny będzie potem, a nucie sława? —
Ale idea, co ją rzucę w światy,
Nie zgaśnie z życiem pieśniarza i pieśni? —
I wrócą wzięte Chrystusowi szaty —*)
I wstaną z błędów stuwiekowych pleśni? —
. . . . . .
. . . . . .

I wraz poczułem, że mam stal na łonie,
Żem powołany do pieśni i lutni.

---

*) Mówimy tu o obdarciu świetnej zasady Chrystusa z całego jej wdzięku, a dodania do niej przez papizm tysiąca pełnych śmieszności artykułów a teatralnych obrzędów, maskaradowych stroi, i t. p. rzeczy. Przytaczamy tu właśnie słowa jednego z pierwszych filozofów i uczonych XIX. stulecia: «Aucun pouvoir dogmatique analogue a celui que christianisme ortodoxe a deferé a l'eglise n'existait alors! Ce n'est, qu'a partir du VII. siecle, quand le christianisme est tombé entre les mains des races raisonneuses, folles de dialectique et de metaphisique, que commence cette fievre de definitions, que fait de l'histoire de l'Église, l'histoire d'une immence controverse! E. Renan. Vie de Jesus. Chap. I—16.

Bywało nieraz, gdyśmy byli smutni.
I każdy okiem gdzieś na błękit tonie —
Gdy dusza, tęskno marząc dni weselsze,
I ludzi lepszych i anioły cielsze,
Gdy marząc Boga miłości i łaski,
Bez ócz błyskawic — bez gromów i piekła,
Czekała, rychło dnia powstaną brzaski —
Gdy dusza w ciszy tęsknoty wyrzekła:
Panie! czyż czcić cię mamy z przerażenia
Bezczynną pieśnią i dymem kadzideł? —
Czyż ci potrzeba zdrojów i świecideł
Do czci — a ludziom Rzymu do zbawienia? —
Jam brał za lutnię i słowem potęgi,
Co biegło rzewno w skołatane dusze,
Bywało, nieraz resztę ciemni kruszę,
I nowej wiary piszę pieśnią księgi —
Wiary, co mówi: że On, Bóg idei,
Bóg nieba szczęścia — wolności bez chmury —
Że jego domem nie są czcze lazury —
Lecz wolność w sercach — i w życia kolei;
Że my go nosim w sobie! —
. . . . . .

Bo nasz Bóg nie ma gromów w swojej dłoni,
Kilka miljonów sług — kadzideł — stroi —
Do Jego nieba przystępu nie broni
Żaden apostoł lub archanioł w zbroi.

On lud swój cały ramionami garnie,
Nie każe kwilić ani czcić bałwanów,
I nie zna Rzymu — księży — królów — panów —
W fikcyjne piekło nie porzuci marnie!
On nie spoczywa na czarnych chmur tronie,
Straszliwy krwawych gromów majestatem;
Nie ma następcy w sprosnym trójkoronie —
Ani nie rządzi jak despota światem.
Nasz Bóg ma w sercach swobodnych świątynie —
Kapłanem jego? — chrześciańska cnota —
Sakrament — kwitnie w gromonośnym czynie.
A modlą? — szabel błysk i wolność złota!
Nasz Bóg — to Chrystus, co skromny, ubogi,
Podniósł miecz dzielnic za swobody świata,
I w nędznej szacie bosemi szedł nogi,
Darząc każdego mianem syna-brata.
On nigdy nie rzekł: — Jam bóstwo — pan — siła —
Ludzie czcić! — bo z was każdy w piekle skona! —
On mówił tylko: Którym wolność miła,
Pod mą tarcz pójdą i w moje ramiona!
On rzekł: Jam Bóg jest — ale Bóg idei,
Co wstrząśnie starym i przegniłym światem,
Co w dział łoskocie i bojów zawiei
Da moc ofierze nad męczącym katem!
Za prawdę mówię: do mnie bracia dzielni!
Do mnie — bo w piersiach mych jest kościół wiary —

Wy już za życia święci — nieśmiertelni,
Gdy tylko przesąd obalicie stary!
Za godło krzyż mój — przyszłą mękę bierzcie,
Biednym i nędzny — sług mi nie potrzeba! —
Tylko rycerze, w mą ideę wierzcie,
A w tem już życiu dostąpicie nieba.
. . . . . .

Taki jest Bóg mój! —
Każdy twór — istota —
Każdy go w sobie i dla siebie tworzy;
I kiedy boleść lub roskosz nią miota,
Kiedy się serce uczuciem przebierze —
Wtedy twór każdy przed Bogiem się korzy,
Błagalne — albo dziękczynne pacierze
Szle mu — i lżej jest, lżej już w życia cieśni,
Gdy mu się prawym czynem daje pieśni!

Każdy szczęśliwy, co wierzy? —
Jak wierzy? —
Ha! to już serce i pierś mu dyktuje;
To w wychowaniu już następnem leży,
Jak go się wielbi i gdzie go się czuje.

Jam uczcił w krzyżu znak, co promienisty
Mówi nam: za was Chryst na mnie dał życie,

Za waszą wolność ten Bóg myśli czystej
Przelał krew swoją —
Dla was — na błękicie
Jest Bóg — i możny — ma zastęp sług długi —
Tworzy i niszczy — nagradza i karze.
Nasz mówi: wyście tylko kraju sługi!
Wasz, pokazując z chmur kłębów trzy twarze,
Każe czcić siebie i cierpieć w tym świecie —
A gdy już boleść przejdzie życia szczyty,
Ma was podobno wezwać na błękity,
Gdzie się «Lauda» w dym kadzidel plecie.

Jam szczęsny tutaj — i wy tam szczęśliwi —
Gdzie ciemność, a gdzie dzień — przyszłość roz-
strzygnie.
Jeźli zbawienia doczekamy żywi,
Któraż to wiara przed drugą się przygnie? —
. . . . . .

Daruj Marcelku, iżem słów tych parę
Napisał, lecz dziś znać się zaczynamy!
A pierwszem w znaniu człowieka — znać wiarę —
Wtedy dopiero ufniej z nim gadamy,
I szczerzej myśli płyną po papierze,
I pierś się wtedy już otwiera szczerze.
Wszak Bóg mój wyrzekł: Iż moich poznacie
Z wiary i z czynu! — Oto moja wiara

Czynem są pisma moje wszystkie, bracie,
Bo czyn z religją moją, to jest para.
Czcza i mdła — zero, czczy pokłon — ohyda —
Kościół mam w piersi, w niej czczę Boga czynem.
. . . . . .

* * *

Literatura — więc mamy pytanie:
Co jest właściwie ta literatura? —
To wyjaw myśli na papier lub granie
Na naszej gęśli o wieczorów ciszy —
Przeczucie, kiedy dzień zamroczy chmura,
Jak jej uniknąć — jak jej grom odwrócić.
Wreszcie w natchnieniu takiem człowiek słyszy
Boże wyrazy — i te tylko nucić
Ma prawo — innych pień nie może skazić,
Lub na papierze zły przykład wyrazić.

Każdy kraj swoją ma literaturę,
Każdy skarb swego serca pielęgnuje,
I rozważywszy swój byt i naturę,
To, co najbardziej kocha i co czuje —
To, za czem tęskni i radby do siebie
Przycisnąć w jednem objęciu ze stali —
Rzuca na papier — lub na pieśni niebie
Cudnymi dźwięki w nieskończoność pali.

Francja? — ta szczęsna (?) — i cóż jej potrzeba? —
Ma dosyć złota i sławy i chleba —
Ma swe granice, których męztwo strzeże,
A obywatel-żołnierz, na wezwanie
Rzuca pług, lemiesz — i za oręż bierze,
Kiedy posłyszy wrogich trąbek granie.
Ciśnie ją prawda pan, co krwią i zdradą —
Krociami trupów ścielił tronu stopnie;
Lecz z dwojga złego chcąc wybrnąć roztropnie,
Francuzi cicho w kieszeń gniew swój kładą.
Bo naród Gallów ma miedziane czoło,
I w twarz pluć sobie pozwala wesoło.
Literaturze więc we Francji koniec:
Nie pójdzie naprzód, bo naród już stoi,
I w więzach żyjąc — skruszyć je się boi.*)

Chyba że jaki boga Marsa goniec
Wzruszy popioły — i sztandary czarne
Znowu powieją nad place ofiarne —
Wtedy — o ile drgnie kraj w tej zamieci,
Literatura krok naprzód poleci,
I znów powiemy: Dosyć! oto meta!
— Poezja Francji? — Śliczna, jak kobieta,
Co w pełni wdzięków wabi cię roskoszą —

---

*) Wiadomem jest jak naród francuzki poniewieranym jest przez Ludwika Napoleona, i z jaką spokojnością pozwala sobie dawać krwawe policzki.

Świetna — udatna — w niej się nimfy płoszą,
I wzajem gonią po jeziora fali;
Albo uczucia, jak na strudle ciasto,
Rozwałkowane — zważone na szali —
Wzruszają sobą każdą wieś i miasto.
Tam sto uwiedzeń; sta cnót zapomniane
Czekają ręki nowych Lowelasów —
Tam Heloizy tęskne i spłakane,
Abeillardowych przyzywają czasów;
Albo Wirginje jak lukrecja nudne,
Świętych Bernardynów by się mazgaili —
Tam wszystko piękne, ale czcze i złudne,
Bo się Francuzi już wszystkiem przeżyli,
Wyjąwszy złota! —

Niemcy? —
Ha! to plemię
Stawia Rzym nowy jak architekt biegły,
Miljon pomników pakuje na ziemię,
Bo są u Niemców mularze i cegły.

Stanął Rzym — Grecy, świątynie i blanki —
Rzymska rozpusta — ateńskie kochanki —
Kolumny wszystkich porządków — świątynie.
Nationalbierverein ma kapitole —
I sława Niemców po wszechświecie słynie,
Na bezmuzgowem liść lauru czole.

Małpy! zrobili reprodukcję z gliny —
Lecz gdzie duch Rzymu? — gdzie doryckie dzieci?
Gdzie bohatery Sparty i Messyny? —
Gdzie charatoński wódz w bojów zamieci? —
Gdzież Horacjusze — gdzie Scypjony dzielne —
Brutus i Cezar, lub Mucjusz Scewola? —
Puste ich groby stawiła niewola —
Ale upadną groby, bo śmiertelne.
Bawarja*)? — Ach! ta dzielnie Niemców kreśli;
Kolos cudowny — w granit, spiż bogaty —
Lecz — w środku pusty — bez ducha i myśli —
Ot! zmałpowane starożytnych szaty —
Ale ich nie ma.
Tu literatura
Słania się koło kunsztów — rzemiosł — piwa —
Ta Heidelbergskiej beczki**) wierna córa
Póki szumuje, poty też i żywa.
Szyller i Heine — Gethe ich i drudzy,
Cudni w sielance, idylli, dramacie —
Średniowiecznego romantyzmu słudzy,
Byli wielkimi mistrzami w swym czasie.

---

*) Piękny pomnik ten, wykonany przez Schwanthalera jest w środku pustym, a w głowie porobione ławki dla przychodniów; ztąd autor zrobił to trafne przystosowanie do Niemców.

**) Heidelbergską beczkę uważa autor za kapitol Rzymian, Sybillę Polaków, Panteon Francuzów, i t. p.

Lecz dziś, kiedy świat w innej strojny szacie.
Na cóż ich cały cudo-utwór zda się? —
Gdzież dziś ta dusza? — gdzież ten hymn grobowy,
Co jako wulkan wstrząsa stopy świata? —
Gdzież pieśń, co budzi rycerskiemi słowy,
Co z serca w serce — z duszy w duszę lata? —
Ha! jego nie ma — bo i ludzi nie ma.
Tylko są Niemcy i ich mechanika.
Póki się za ten stos żywotny trzyma,
Jest ogień — puścisz? — wszystko w migu znika.
Jest niebo z złota — lecz z idei nieba
Nie szukać między tą maszyną żywą —
Bo Niemcom wcale wolności nie trzeba,
I szczęsni — byle nie zdrożało piwo!

Literatura gdzież? — poezja kędy? —
U nas! ach, u nas, gdzie Sławianie żyją.
Gdzie takie wielkie i cnoty i błędy,
Gdzie takie serca bohaterskie biją!
U nas, gdzie mogił kraj i przypomnienia —
U nas, gdzie przyszłość, ta myśl cochwilowa;
Gdzie genjusz w dzieciach się już rozpromienia,
I drobne kształci w lud czynu i słowa:
Gdzie w każdej garści ziemi — w każdej chacie,
Niemal na każdem miejscu cnej krainy —
Grecji i Rzymu monumenta macie,
A z krwią i duchem — jak jej dzielne syny!

U nas, gdzie Piasta potomki rolnicze
Śpią zakowani w szlacheckiej ciemnicy!

. . . . . .

Lud nasz — ten święty — ten sponiewierany —
Błękitno-oki i o bladej cerze,
Co tak ci wzrokiem aż do serca bierze,
A taki żywy, choć w grób pochowany!
U nas, gdzie wszystko dziwi i czcią wzrusza:
Kmiece zwyczaje — zabytki ojczyste —
Gdzie patrząc w lica wieśniaka przejrzyste,
Zda się w niem cała odzwierciadlać dusza.
A dusza jasna, choć w ciemnotę zwita —
Biała, choć szlachta ją jak może brudzi.
A serce prawe, gdzie się wielkość czyta
I prośbę: Bracia! zróbcież i z nas ludzi!

U nas to, u nas jest literatura,
U nas poezja olbrzymia — bez granic —
Wielka i pyszna, jak boża natura —
Straszna i święta, jak idea Chrysta.
O! takie skarby nie oddane za nic —
Bo w nich myśl boża jasna i przejrzysta,
Bo w każdem słowie — w każdej pieśni nucie —
Całego ludu błyszczy cel i czucie!

. . . . . .

Ten kraj najpierwsze ma pisarstwa koło,
Który najświętszą myślą się podpiera —
Największą z idej wieńczy swoje czoło,
Najświętszym celom swoją pierś otwiera.
My więc, co ciągle wolności żądamy —
Którzy marzeniem o niej tylko żyjem —
Najpierwsze pieśni — najolbrzymsze mamy,
Bo w dzwon zbawienia jednem sercem bijem.
Hymny nadziei — więc ich nie oddamy
Za wszystkie skarby obcych piśmiennictwa
Bo do krwawego po przodkach dziedzictwa:
Dziś w dołączeniu naszą mękę mamy!
I tą dźwięk budząc w młodem pokoleniu,
By nie zasnęło śród nieszczęścia toni —
W prozie — w poezji — w każdem życia tchnieniu
Winniśmy wołać: Polacy — do broni!

Każdy jak może Pana Boga chwali;
Każdy dla kraju pracuje jak może.
Jeden ofiarę w pocie czoła pali,
Drugi się lżejszą przysługuje pracą;
Inny, choć całe życie na ugorze
Sieje — lecz wszyscy jak mogą tak płacą
Dług święty — swojej rodzicielce świętej,
I w dal przyszłości w jednym idą celu.
Lecz wielu braciom potrzeba zachęty —
Ach, jeszcze bodźca potrzebuje wielu! —

Są silni — prawda! ale są i słabi,
A tym, gdy braknie w morzu życia wiosła,
Próżno wołają: ratuj nas, ach Rabbi!
Ażeby fala w przepaść nie uniosła! —
Próżno wołają! — z nieba cisza głucha —
Orły na skałach krótkie mają skrzydła,
Choć ostre szpony — lecz w okowach ducha,
W oczach brudnego papizmu mamidła!

Któż więc im poda bratnią dłoń w rozbiciu,
Któż słowem wiary — miłości — nadziei —
Zatrzyma biednych i skieruje w życiu? —
Któż im ląd wskaże w strasznych fal zawiei? —

Ach, ja ci powiem Marcelku! Lecz bracie,
Wierz mi — o! wierz mi — jedyna to droga:
Piórem lub pieśnią wsparcie im podacie,
Piórem lub pieśnią zbliżycie do Boga!
W nas więc spoczywa ten kamień węgielny,
W nas zbawczy okręt, co rozbitków chwyta:
W nas ta potęga — genjusz nieśmiertelny,
Z którego słaby swą nadzieję czyta.
Naród na ziemi — a my nad nim w górze,
Jako te gwiazdy na nieba lazurze,
Jak oni wiodą po stepu przestrzeni,
Wędrowców błędnych — tak i my powinni
Jako te gwiazdy promieniem być czyni.

I każde słowo, co z pod pióra płynie,
I piosnka każda, co się z gęśli tworzy,
O każdym czasie i w każdej godzinie
Winna być braciom lampą na bezdroży!

Tak ja pojmuję dziś literaturę.
Inna — nie godna jej nazwy ni wdzięku —
Inna nie pójdzie skrzydłem myśli w górę.
Lecz trwożna, skona na niewoli ręku.

Romantyzm śliczny! Lecz gdy czas jest na to —
Julcia, co kocha — choć ją Adolf zdradza,
Potem, gdy z innym sobie wynagradza;
A Adolf wreszcie pod zazdrości szatą.
Mści się, choć więcej dziewczyny nie kocha —
A potem mazgaj nad swym błędem szlocha,
I żal mu raju wziętego z przed nosa —

Ha! powieść taka śliczna — gdy bazgracze
Trochę zachaczą jeszcze o niebiosa —
Jego aniołów — o karze nabają,
Że aż się setna bigotka rozpłacze.
Lecz proszę — jakież skutki pozostają? —
Jakaż ojczyźnie korzyść z tej powieści? —
Setki ich błysło w dziennikach i zgasło,
Ani już po nich nie zostało wieści! —
Chyba, że tylko jaka gospodyni

Gdy jej przypadkiem w powieść zwiną masło,
Zawoła swojej Luci lub Maryni,
I przeczytawszy głośno z ważną miną
Przed córką, co jak na zarzewiu stała,
Zakwili przez nos: Pamiętaj dziewczyno,
Żebyś mi nigdy chłopcow nie kochała!
I oto wszystko! —

Przebacz mi, Marceli,
Że tak otwarcie piszę i bez trwogi —
Lecz gdy dzień przyjdzie, w którym się weselę,
Oprzem z roskoszą o własne swe progi,
I jak wzrok sięgnie, jak ojczyzny kraniec,
Tylko braterskie lice pozostanie —
Kiedy zawiesim swobody kaganiec,
Jakież się wtedy odda sprawozdanie? —
Cóż taki pisarz powie, gdy go swoi
Spytają: Gdzież jest siane przez cię ziarno?
Gdzież jest garść wapna na budowę Troi,
Rzucona przez was, nowi Eneasze?
Czyście swe życie przebłąkali marno?
Gdzież pisma wasze i gdzie czyny wasze?
Coście robili wy pisarze wtedy,
Gdy naród pytał: kędy jego gwiazda?
Jakiż daliście grosz dla jego biedy —
Jakie źdźbło nowe, by postawić gniazda? -

Oh! wtedy straszne będą przypomnienia —
Kielich goryczy gorzkszy niźli Chrysta —
A w pierś występną wyrzuty sumienia
Jak grom bić będą! —

. . . . . .

Ja dobrze pojmuję,
Że wam nie wolno pisać to, co chcecie!
Ja wiem, co każdy z was tam w piersi czuje —
Ale przeciwność — gnębi tylko dziecię!
Mąż, co ma z stali pancerz na swem łonie,
Mąż, co z piorunną hardo walczy chmurą,
Albo zwycięża los — lub kruszy pióro,
I w innej pracy żyje na zagonie! —

Bo w każdym pióra waszego połocie,
I w każdej pieśni, co się z gęśli tworzy,
Winny wytryskać jasnych gromów krocie,
Winien uderzać blask wybawczej zorzy!
Inna poezja — i pisarstwo inne.
Niechaj przeklęci będą w naszej ziemi!
I ci, co mając genjusz, dłońmi swemi
Budują jakieś powiastki dziecinne!
Zresztą — ha! darmo — z ust słowa nie lecą —
Kończę list, mówiąc: Do widzenia, bracie!
Bo jeźli w tobie polskie czucia świecą — —

. . . . . .

Ach! to marzenie! —
Próżne marzenie! — bądź zdrowy! bądź zdrowy! —
List ten choć pierwszy — lecz ostatni kreślę.

Na jedną chwilę wyjedź do Szczakowy,
A wtedy — jawnie powiem ci, co myślę! —

Baden - Baden, 1866.

EPILOG.

WYJĄTEK Z OSTATNIEGO LISTU

do . . . .

Była to chwila z najstraszniejszych może,
Jakiem w tem życiu przeniósł —
Smętny — blady —
Spojrzałem w niebo — szepnąłem: O Boże!
I jakby siłą nieznaną wstrzymane,
Zaschły łzy w licu — i boleści ślady,
Jako jesienne listki wiatrem zwiane,
Zniknęły.
Po nich, twarz na świat zwrócona,
Niby z marmuru Karrary ukuta,
Zimna i martwa — bez czucia — bo z łona
Pierzchła ostatnia ludzkich marzeń nuta.
Bom już nie żebrał przyjaźni bez granic —
Serca — miłości — ni poświęceń roju —
Nie wierząc w ludzi, nie rachując na nic.
Trudniej we wnętrzy może — lżej na oko —
Więcej pogardy — zimnego spokoju
Miałem — i życia znajomość głęboką!

Tylko czasami w snach mi się majaczył
Obraz ojczyzny — nienawiść do wroga —
I matka moja tam — pełna rozpaczy!
Lecz z taką wiarą niezachwianą w Boga —
I taką nadzieją: że z nadbiegłą wiosną
Blask kwiatów stłumi zimy wzrok umarły,
I na mogiłach mściciele wyrosną! —
— — Biedna! — zabyła, kochając swą ziemię,
Że nam mścicieli nie wydadzą karły —
Że w pustych borach nawet echo drzemie!
Niech śni! — nie budzić Anhellego ducha;
Eloe z grobów jeszcze nie zagasła —
Więc nie czas brzękiem przedwczesnym łańcucha
W stepie niewoli budzić wolnych hasła! —

Te sny, ci mówię, szarpią jeszcze łono;
I na okręcie — pod nieba nakryciem —
Gdy wzrok zatonął w przestrzeń niezmierzoną —
Zdało się, jakbym chciał się godzić z życiem.
I pożałował tej ziemi, co w dali
Nikła w mgle morskiej i fal ciemnych wirze —
I tych, co obcy, jednak łzą żegnali!

Ha! myślę sobie — tęsknotą nie zbliżę
Ani ojczyzny, ani jej do siebie.
To widok morza tak piersią kołysze —
Spojrzmy na niebo — lecz gwiazdy na niebie

Jak gdyby bledsze, drżą w cichym lazurze —
I wnet poczułem, że mej duszy ciszę
Niezdolne wzruszyć gwiazdy na lazurze,
Że los rzucony — —
Potem na przestrzeni
Kilka płomyków — jakby duchy krwawe
Błysły — i naraz po bokach okrętu
Zagrzmiała fala — wznosi się i pieni,
Jak wątłym liściem wstrząsając mą nawą,
Tak słabą w obec groźnego zamętu.
Niebo zakryły swoją szatą chmury —
Ciemność — ta matka trwogi — tu, do koła,
Tylko na maszcie — u okrętu czoła
Płomień latarni patrzy na nas z góry.
A gdy na chwilę cichł ryk uraganu,
Trzysta pobladłych twarzy na pokładzie —
I trzysta głosów modliło się Panu.

Kochałem kiedyś życie! — gdy zachwyty
Były mi chlebem powszednim — i wiara
W przyszłość — jaśniała w całym swym uroku,
Gdym patrzał w życie jasno jak w błękity,
Z uśmiechem w licu — z łzą nadziei w oku,
Gdy nieznanego mi napoju czara
Była zaledwo pełną do połowy —
Ach! wtedy umrzeć, gorzko by mi było,
Pożegnać wszystko, co się w dziecka głowie

W tylu czarownych upojeniach śniło! —
Lecz na okręcie? — Śród piorunów bicia,
Gdym wszystko rzucił w fal niezmiernych łono —
Śmierć — ten olbrzymi Sfinx ludzkiego życia,
Wydawał mi się dawno odgadnioną
Szaradą — bom w nim widział dwie nicości.
Siostry zamętu dwie — podobne sobie:
Znikomość życia w tego świata grobie,
Z nią nicość śmierci i nieśmiertelności!
— Więc martwym patrzał zimnych spojrzeń drogą
Na rozszalałych żywiołów zawiłość;
I jak w tych ludziach skamieniałych trwogą,
Honor — odwaga — poświęcenie — miłość —
Gasły powoli — gdyż pewnym rozbicia,
Uragan z czoła zdarł maskę uroku,
I wraz widziałem w każdej twarzy — oku —
Zwierzęcą tylko chęć zbawienia życia!
— Gardziłem nimi! —
Ostatnie więc kwiecie
Uczuć, co jeszcze nie zawiędło w łonie,
Prysło, porwane przez huczące tonie —
I znów zostałem sam jeden na świecie!

Burza umilkła — przystań — potem w drodze,
Karabin w dłonie i — marsz na pustynię! —
Tam wiatr ubrany w Atlasu mgle bladej,
Groźny — na morzu żółtych piasków płynie,

Wyjąć do koła dziką pieśń zagłady —
Gnie palmy — próżno strzaskać je się stara.
Tam dalej Arab w biały burnus strojny,
Snuje się w stepie niby senna mara;
Z oddali zimny — surowy — spokojny —
Lecz przystąp bliżej i spojrz mu na lice!
Ach! tam nienawiść do Franków wyryta!
Schwyć jedną tylko oka błyskawicę —
W niej wyraz «zemsta» jak jutrzenka świta!

Znów dalej — śpiewak o wybladłej cerze,
Dziecko wpółsenne w struny lutni brzęka
O! słów tam nie ma — lecz narodu męka
Uderza, jakby w każdym harfy tonie.
Czasem do koła niego tłum się zbierze
I słucha — wtedy twarz dziecięcia spłonie;
Wzrok się zatrzyma na niejednej twarzy —
I raptem — blade pacholę tułacze
Pieśń tajemniczą swą przerwie — i marzy —
Aż bólem zdjęte gorzko się rozpłacze!
— Lecz cicho! w stepie są jeszcze kurhany,
A na nich palmy zielone, bez skazy —
I mówią ludzie: że czasem zbłąkany
Arab, gdy noc go w tych miejscach osłoni,
Słyszy wyraźnie, jak z łona oazy
Wiatr gra na grobach groźną pieśń: do broni! —

. . . . . .

Widzisz że wrażeń dość tu — dla mnie mało!
Bo czuję, że się już wszystko rozpręża,
Co mnie do ludzi i Boga wiązało.
Są bowiem troski, których nie zwycięża
Moc charakteru — próżne więc staranie!
Czekam, aż ciało do ziemi się przygnie.
A czy nastąpi kiedyś powitanie
Z tobą? — Ha! nie wiem — niech to los rozstrzygnie!

Afryka. Sidi-bel Abbes, 1867.

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku:

Kilka kart z krwawego rocznika. Poezyje. 16°. Cena 5 Ngr.

Krasiński, Zygmunt. Przedswit. 16°. Cena 10 Ngr, Oprawny 17½ Ngr.

Malczewski, Antoni. Marja. Powieść ukraińska. Wydanie nowe. 16°. Cena 10 Ngr. Oprawna 17½ Ngr.

Mickiewicz, Adam. Ballady i romanse. 16°. Cena 10 Ngr. Oprawne 17½ Ngr.

—— Farys i Grażyna. 16°. Cena 10 Ngr. Oprawne 17½ Ngr.

—— Konrad Wallenrod. 16°. Cena 10 Ngr. Oprawny 17½ Ngr.

Słowacki, Juliusz. Żmija, romans poetyczny z podań ukraińskich. 16°. Cena 10 Ngr. Oprawny 17½ Ngr.

Tęcza. Zbiór poezji, ozdobiony portretem Kornela Ujejskiego. 16°. Cena 1 Tal. Oprawny 1 Tal. 10 Ngr.

Zaleski, Bohdan. Duch od stepu. 16°. Cena 10 Ngr. Oprawny 17½ Ngr.

Z wiosny. Zbiór poezji. 16°. Cena 1 Tal. Oprawny 1 Tal. 10 Ngr.

Chcąc uczynić zadosyć żądaniom publiczności, która posiadać pragnie wszystkie lepsze utwory zasłużonych wieszczów polskich w kieszonkowym formacie powyższego wydania, nakładca postanowił publikować takowe w nieoznaczonych terminach, dokładając starania, aby treścią wartości już istniejących tomików podobnież odpowiadały, jak ich powierzchowność i oprawa.

Pojedyńcze utwory i zbiorki wydań kieszonkowych zalecają się szczegółowo do podręcznego użytku — tem bardziej powyższe wydanie wytwornością swą i stosunkowo przystępną ceną podnosi ich zalety, a doborowa treść czyni je najpożądańszym podarkiem dla wszystkich. Z tego powodu spodziewa się nakładca prawdziwą wyrządzić przysługę ogółowi, zasilając literaturę polską podobnemi wydaniami.

Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku:

Cztery niedziele postu. Obrazek dramatyczny wypadków 1861 r. 16°. Cena 3 Ngr.

Lacha z Lachów. Podarek ludowy, wiejski i miejski, naukowy i gospodarski, moralny, religijny i historyczny. 16°. Cena 5 Ngr.

Marysia święta. Obrazek dramatyczny, osnuty na tle wydarzeń nad Narwią w 1861. 16°. Cena 6 Ngr.

Mierzba, Jan. Służba lekkiej kawaleryi w polu, przełożona z francuzkiego podług połączonych dzieł podpułkownika F. de Brack i jenerała de la Roche Aymon. 16°. Cena 1 Tal. 20 Ngr.

Norwid, Cyprian. Niewola i Fulminant. 1849—1863. Dwa rapsody poetyczne, 8°. Cena 8 Ngr.

La Pologne captive et ses trois poetes: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki. 8°. Cena 1 Tal.

W komisji F. A. BROCKHAUSA w Lipsku.

Czyste westchnienia do Boga. Książeczka do nabożeństwa, zebrana z najlepszych dzieł katolickich, z dodatkiem odpustów do tych nabożeństw, oraz budujących uwag i rozmyślań. I. Wydanie dla kobiet. II. Dla mężczyzn. 32°. Cena 1 Tal. 10 Ngr.

Książeczka powyższa jest zbiorem najużywańszych nabożeństw oryginalnych oraz tłumaczonych z francuzkiego i łacińskiego tekstu ksiąg kościelnych. Aprobata najwyższej władzy kościoła katolickiego w Warszawie, jaką otrzymała po swem ukazaniu się, gwarantuje jej tak łatwość jak i bezpieczeństwo sprzedaży po całej Polsce.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa przez Tomasza a Kempis. Ksiąg cztery. 32°. Cena 27 Ngr.

O naśladowaniu Chrystusa jest wiernym przedrukiem tłomaczenia dzieła Tomasza z Kemp., przez T. Matuszewicza.

Obie książki zalecają się wytwornem wydaniem w formacie maleńkim kieszonkowym, ze stalorytem i tytułem chromolitografowanym.

Księgarnia utrzymuje zapas egzemplarzy oprawnych w skórkę francuzką od najtańszych do najdroższych gatunków, bez okucia lub z okuciem, w kość słoniową, i t. d. po najprzystępniejszych cenach. Oprócz tego wszelkie obstalunki opraw w najkrótszym czasie wykonane zostaną.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
179750